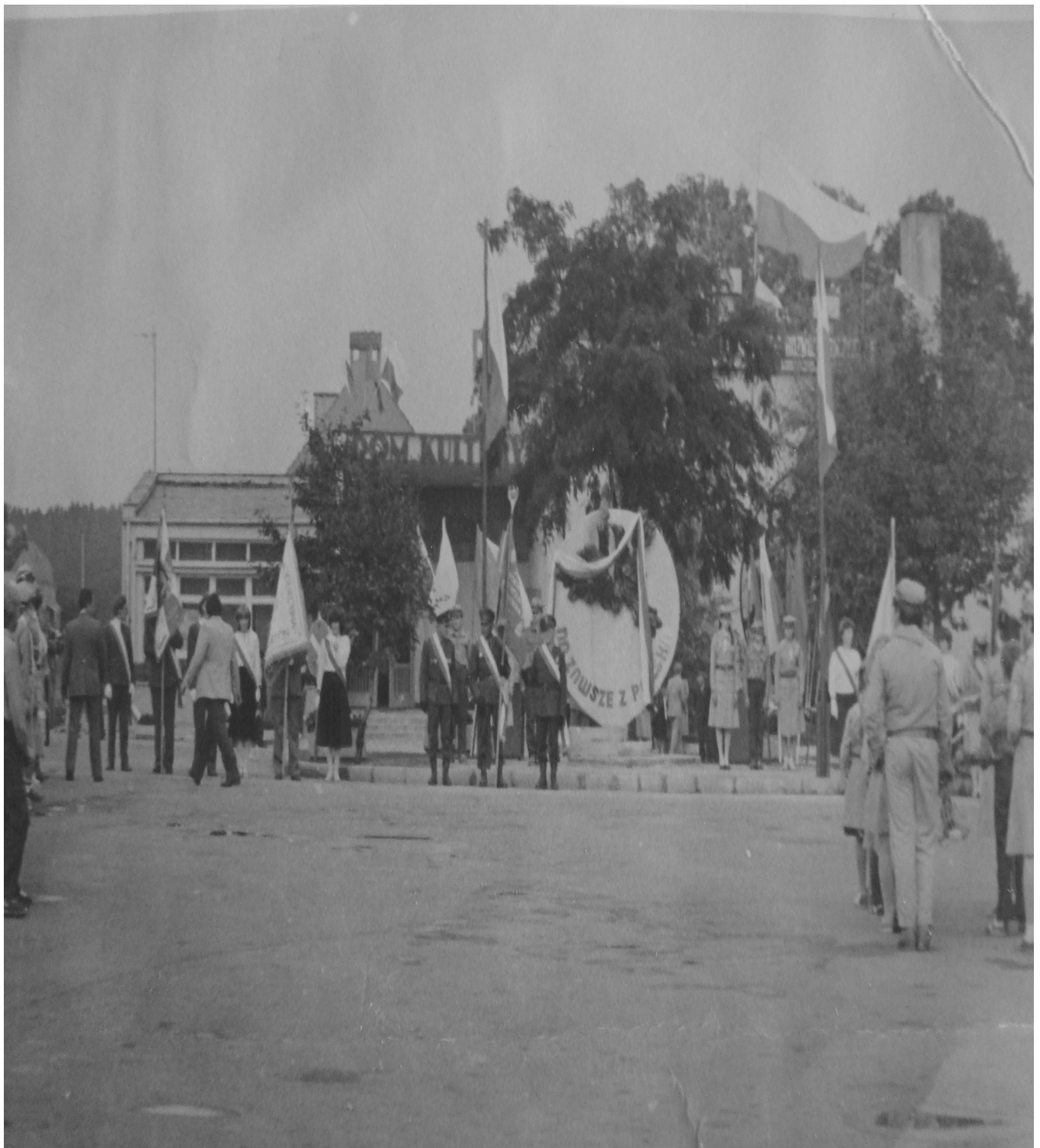


TOWARZYSTWO MIŁOŚNIKÓW RECZA

RECZ NA RZECZY

WYDARZYŁO SIĘ ...

PAMIĘTNIK DRUGI



Drogi Czytelniku!

Niniejsze - już drugie - wydanie „Pamiętnika ...” jest efektem pracy grupy młodych ludzi, uczniów Gimnazjum im. Adolfa Długosza w Ręczu. Od lutego do lipca 2017 r. realizowali oni projekt Towarzystwa Miłośników Ręcza pt. „Ręcz Kulturalnie!”

Młodzi dziennikarze są autorami wywiadów z mieszkańcami naszego miasta, podczas których dowiedzieli się wiele na temat powojennej historii Ręcza, jego losów, postaci, które miały ogromny wpływ na rozwój miasta, miejsc i wydarzeń.

W szczególny sposób skoncentrowaliśmy się na postaciach związanych z kulturą i oświatą.

Publikacja została sfinansowana w ramach projektu „Ręcz. Kulturalnie!” realizowanego przez Towarzystwo Miłośników Ręcza w 2017 roku.

REDAKCJA



SŁOWO WSTĘPNE

W czasach, kiedy archiwa są otwarte dla naukowców, coraz więcej wiemy, jak tworzyła się polskość na Pomorzu Zachodnim po 1945 roku. Wiemy, kto odegrał rolę w kształtowaniu postaw Polaków i co pozostało z tytanicznej pracy, by zagospodarować tereny, na które przyszlśmy w wyniku splotu skomplikowanych wydarzeń historycznych.

Nieczęsto zdarza się, by w małym miasteczku pokusić o zorganizowanie uroczystości rocznicowych w sposób bardzo przemyślany z udziałem historyków i naukowców badających najnowszą historię Pomorza Zachodniego. A takie wydarzenia mają miejsce w Ręczu. Bardzo ciekawym pomysłem jest pokazanie, poprzez kulturę i oświatę, jak kształtowały się postawy Polaków na tych terenach po 1945 roku. To właśnie te dwa czynniki odegrały jedną z kluczowych ról w spajaniu społeczeństwa na tych terenach.

Bardzo istotną rolę w tworzeniu świadomości Polaków tworzyły małe wiejskie szkoły, gdzie nauczyciele uczyli pisania i czytania, pokazywali polskie książki. Poprzez organizację imprez kulturalnych w szkołach przypominali o polskiej tradycji, uczyli tańców i przyśpiewek z różnych regionów, opowiadali, co to jest gwara i uczyli młodzież, jak posługiwać się językiem polskim. Musieli to robić, gdyż byli to ludzie z różnych regionów Polski przedwojennej. Wtedy, w tamtych czasach, nauczyciel był postacią na wagę złota. To od ich pracy zależało, jak będą funkcjonowały urzędy, jak będzie działała administracja, odtwarzali na tych terenach załączki kultury polskiej.

„W tamtych czasach nauczyciel musiał wykazać się odwagą żołnierza” – mówi prof. Kazimierz Kozłowski, historyk, archiwista, politolog, specjalizujący się w historii współczesnej i historii Pomorza Zachodniego, wykładowca na Uniwersytecie Szczecińskim. „Nauczyciele w małych miasteczkach i na wsi często budowali szkoły od podstaw, pracując za bardzo marne pieniądze. Byli głodni, często mieszkali kątem u mieszkańców wsi. Praca była bardzo niebezpieczna. Grasujące bandy, szabrownicy i złodzieje kradli wszystko, co się da, zatem trzeba było tych szkółek bronić. Często nauczyciele przyjeżdżali na Ziemię Zachodnie z nakazu pracy. Mieli zostać tylko jakiś czas, pozostali do końca życia, rozwijając oświatę i ucząc młodych ludzi języka polskiego, matematyki, ale też postaw, które zaowocowały tym, że teraz tutaj jesteśmy”.

Bardzo ciekawie o nauczycielach pracujących po 1945 roku na terenie gminy Ręcz mówi Rozalia Ligus - dr nauk humanistycznych w zakresie pedagogiki, wykładowca Dolnośląskiej Szkoły Wyższej we Wrocławiu, mieszkańcom Ręcza znana bardziej jako pierwszy dyrektor Gimnazjum. Przypomina ona losy wielu nauczycieli, którzy w latach powojennych przybyli w okolice Ręcza i tutaj już na zawsze pozostali. Między innymi przypomina Janinę Pawłowską - polonistkę, która przyjechała do odbudowującego się miasta z Wielkopolski. Pani Janina przez długie lata prowadziła kronikę miejską, którą pisała ręcznie blisko trzydzieści lat.

Bardzo istotną rolę w rozwoju polskości na tych ziemiach odegrała kultura. Miejscem, gdzie od lat tworzy się kulturę w gminie jest Miejsko-Gminny Ośrodek Kultury i Sportu. O jego zasługach w rozwoju gminy, mówi obecny Burmistrz miasta, wcześniej pracownik, potem dyrektor Domu Kultury w Ręczu Wiesław Łoński.

Uroczystościom, które odbywają się w marcu w Ręczu, towarzyszy wystawa pamiątek, starych fotografii i wykopalisk, którą z wielkim wzruszeniem oglądają zaproszeni goście, mieszkańcy Ręcza, byli i obecni nauczyciele, ich rodziny.

Jak pracuje obecnie szkoła i miejscowy Dom Kultury możemy przekonać się podczas bardzo interesujących koncertów, które są prezentacją dorobku artystycznego i szkolnego w mieście i gminie Ręcz. Uroczystego charakteru spotkań rocznicowych nadaje również msza święta w intencji mieszkańców celebrowana w kościele parafialnym pod wezwaniem Chrystusa Króla.

*Andrzej Wiśniewski**

** Andrzej Wiśniewski - dziennikarz, członek Zarządu Stowarzyszenia Dziennikarzy Rzeczypospolitej Polskiej „Pomorze Zachodnie”.*

72 ROCZNICA POLSKOŚCI NA ZIEMIACH ZACHODNICH - RECZ



ZBIGNIEW LIGUS

Kiedy Pan zaczął swoją pracę w Domu Kultury w Ręczu? Na czym polegała Pana praca?

Pracę w Ręczu podjąłem w 1989 r. To był ostatni rok istnienia dawnego systemu. Wtedy Miejsko-Gminny Ośrodek Kultury był wielką, jak na warunki gminy, instytucją. Kadra liczyła ponad jedenaście etatów, czyli pracowało tam kilkanaście osób na cały lub część etatu. Ośrodkowi podlegały świetlice wiejskie. Dysponował on bogatym, w większości nieco wysłużonym sprzętem i wyposażeniem: samochód osobowo-towarowy Nysa z odzysku, zestawy częściowo nie działającego nagłośnienia i sprzętu dyskotekowego w klubach wiejskich i w M-GOK-u, ale także kultowe komputery ZX Spektrum, Commodore i Atari, z oprogramowaniem do gier komputerowych. Ówczesny Naczelnik Gminy Tadeusz Kalinowski był gospodarzem lubiącym mieć nad wszystkim kontrolę, w tym nad kulturą, którą traktował jako narzędzie rozwoju Gminy – stąd dbałość o zabytki, bibliotekę i dom kultury. Ale potrzebował też ludzi, którzy wykazują się jakąkolwiek samodzielnością i zaradnością. Interesował się tym, co miało się dziać w kulturze. Wzywał mnie co jakiś czas na dywanik i pytał: „No to Dyrektorze, jakie ma Pan plany?” Wyfuszczalem mu wtedy swoją wizję działania, w którą on nie do końca wierzył i myślał sobie pewnie wtedy: „Niech się sam przekona”. Ale był zadowolony, że jakieś plany, mniej czy bardziej ambitne, są. Widząc mój entuzjazm, mówił wtedy: „No to niech Pan działa”. Mnie to wystarczało. Od początku chciałem popularyzować kulturę, zachęcając do uczestnictwa w nieszablonowy sposób. Może któryś z rodziców pamięta teatrzyk „Drops” z Jaworzna Szczątkowej? To był chyba rok 1990. Zaaranżowaliśmy ich występ na os. Słonecznym późnym wieczorem, między blokami. Bez nagłośnienia, tylko halogenowa plama świetlna (po statywy na reflektory specjalnie jechałem do Poznania), w której zagrany został amatorski, ale na niezłym poziomie, spektakl „Don Juan” w stylu commedia dell’arte. Kultura wychodzi do mieszkańców. Ręczanie oglądali go z balkonów, okien i z bliska. Nieważne, że nie wszystko było dokładnie słychać. Taką balkonowo-okienne integracja. A ilość widzów robiła wrażenie.

Z początku dyskoteki były jedną z ważniejszych form działalności, a to z powodu dużego zainteresowania młodych ludzi i wpływów do kasy M-GOK. Ale wpływy te okupione były wielkim wysiłkiem pracowników: uciążliwe dyżury nocne „na bramce”, nieprzyjemne scysje z uczestnikami, zniszczenia i brud w toaletach po imprezach. Traktowałem to strasznie serio. A to były takie podchody – im większą dyscypliną starałem się ogarnąć tę formę działalności, tym więcej „psikusów” starali się robić niektórzy uczestnicy. Aby odczarować „złego ducha” dyskotekowego, powstał pomysł na comiesięczne „Rokendroloteki”, popularyzujące taniec towarzyski i starego rock’and’roll-a. Dla odreagowania agresji i niekulturalnego zachowania. Sprawdzało się. Próbowalem też uczyć tańca towarzyskiego. Głównie chodziło o to, by rodzice mogli oglądać swoje pociechy, jak potrafią elegancko prosić dziewczyny do tańca i poruszać się całkiem zgrabnie na parkiecie. Któregoś roku zespół tańca towarzyskiego zakwalifikował się nawet na przegląd wojewódzki. Organizowaliśmy warsztaty taneczne w zaprzyjaźnionym ośrodku kultury w Mirosławcu albo w Szkole w Lubieniowie, połączone z programem wypoczynkowo-turystycznym.

Starałem się zachęcać do samodzielnego śpiewania - do tzw. „piosenki z krainy łagodności”. Utworzony zespół piosenki turystycznej, jeździł w góry do chatki na „Rogaczu” w Beskidach, na imprezy do innych domów kultury, na warsztaty i koncerty. Zespół też osiągnął poziom kwalifikujący go do przeglądów wojewódzkich PARRA.

Jednak duża część młodych ludzi chciała czegoś mocniejszego i bardziej niezależnego: punk rocka albo metalu, kon-

certów, jak w Jarocinie. Nie bardzo chciałem godzić się na takie formy w sali kinowej. Ale doceniałem muzyczną aktywność zespołu zwanego „Czarne Wdowy”, który był nasz, z Ręcza, i który potrafił zgromadzić całkiem liczne grono fanów. Nie pamiętam, czy to była jego oficjalna nazwa, czy też ksywa nadana w środowisku. Trzon grupy stanowili wtedy bracia Tomek i Przemek Leśniakowie. Z duszą na ramieniu zgadzałem się czasem na koncerty tego zespołu. Byłem pełen obaw o zniszczenia w niedostosowanej do takich celów sali kinowej. Nie dlatego, że młodzież była nieobliczalna (była świetna!), ale dlatego że np. taniec pogo miał swój charakter i siłę, której stare fotele kinowe nie były w stanie się oprzeć. Pamiętam świetny koncert ze zniekształconymi, czarno-białymi obrazami filmowymi na ekranie, chyba z czasów drugiej wojny. Pomysł chłopaków, realizacja Adam Wojda, albo jego tata Stanisław? To było dobre.

Jedną z najwartościowszych grup w tamtym okresie była Kapela Podwórkowa. Zespół o długich tradycjach, angażujący muzyków, którzy wcześniej mieli kontakt z nutami, lubiany przez odbiorców. Jego ówczesny skład to kierownik repertuarowy i akordeonista Stanisław Wojda, niezapomniany wokalista Kazimierz Leśniak, bębniarz i wokalista Henryk Knyziak, skrzypek Franciszek Dubiel i Jerzy Tomicz na banjo. Kiedy zaproponowano mi akompaniowanie na gitarze, żeby wzmocnić sekcję rytmiczną, chętnie na to przystałem. To była fajna paczka dobrych znajomych. Występowaliśmy nawet za granicą, na Ukrainie i w Szwecji.

Po zmianie systemu, w gminie nastąpiła zmiana władzy. Nowy Burmistrz - nazwijmy go Pierwszym - wraz z Nowym Sekretarzem, miał swoją specyficzną wizję funkcjonowania samorządu, nieco autorytarną, kontestującą dotychczasowy porządek. Przy nim miałem poczucie, że ja również jestem relikwem poprzedniego systemu, który należy zreformować. Owładnięty ideą otwierania się na świat - do wielkiego biznesu, który mógłby podnieść naszą upadającą gospodarkę post-socjalistyczną nawiązał kontakt ze szwedzkim miastem Eslöv. To zaowocowało wtedy wymianą kulturalną, która stała się nowym impulsem rozwojowym dla M-GOK-u. Do Ręcza przyjechał szwedzki zespół folklorystyczny Rugsjigillet, a wkrótce po tym powstał w Ręczu zespół ludowy złożony z kapeli, zespołu tanecznego oraz entuzjazmu i wsparcia rodziców i nauczycieli ze Szkoły Podstawowej. Zespół wniósł nową jakość. Osiągnął niezły poziom artystyczny, podobał się podczas występów w Gorzowie i w szwedzkich miasteczkach, w których zespół koncertował w ramach rewizyty. Animowała go i prowadziła Rozalia Ligus, która po dwóch latach oddała go w inne ręce. Musiała pracować głównie społecznie, bo niestety, dla mnie niezręczne było wydawanie publicznych pieniędzy na zatrudnianie żony. Z tamtego czasu wszyscy pamiętamy niezwykłą siłę integrującą społeczność Ręcza wokół spraw związanych z zespołem i szyciem dla niego strojów. To było jego największą wartością.

Efektem kontaktów ze Szwedami było powołanie do życia Towarzystwa Miłośników Ręcza, mającego skupiać lokalne elity wokół spraw związanych z kulturą i twórczością. Miało pomagać Domowi Kultury we wspieraniu i identyfikowaniu lokalnych potrzeb kulturalnych, szczególnie w perspektywie rodzących się kontaktów międzynarodowych. Pomysł się sprawdził, skoro Towarzystwo działało nieprzerwanie od 1992 r. i zrealizowało bardzo wiele spektakularnych projektów. Działalność TMR to odrębna historia...

Jakie trudności napotkał Pan w związku ze swoją pracą w Domu Kultury? Jakże były wtedy największe problemy?

Dość liczne zatrudnienie w M-GOK-u prowokowało decydentów do podsuwania różnych, dziwnych pomysłów na bynajmniej niekulturalną działalność. Na przykład pielęgnowanie Parku Miejskiego, by w ten sposób zaoszczędzić trochę pieniędzy w gminie. Strzyżenie trawy, nasadzenia roślin, malowanie krawężników, itp. Uznano jednak wkrótce, że nie był to

najlepszy pomysł, ale koszty utrzymania Domu Kultury są za wysokie i trzeba ciąć. Najgorsze dla nas było to, że wraz z cięciem kosztów nie odbywały się rozmowy o tym, jaką potrzebujemy kulturę i co powinno być dla nas, mieszkańców gminy, najważniejsze w tej dziedzinie.

Kiedy po połowie kadencji odwołany został Pierwszy Burmistrz, powołano Drugiego wraz z nowym Sekretarzem. Powiało optymizmem i nastąpiła zmiana nastrojów w gminie. Jednak dla Domu Kultury to też nie był dobry czas.

Dalsze ograniczanie pieniędzy na wynagrodzenia i nacisk w kierunku zwolnień pracowników był tak duży, że wkrótce zostały „cztery i pół” osoby. Jednocześnie wysiłek, by utrzymać dotychczasowy poziom działalności był tak duży, że to przekraczało moje możliwości.

Byłem zmuszony zwalniać pracowników, którzy byli zaangażowani w swoją pracę. Wiele osób do dzisiaj nie potrafi mi wybaczyć tamtego czasu. Trudno się dziwić. Ale najgorsze było to, że moje pytania o to, jaki ma być model funkcjonowania kultury w gminie, ciągle spotykały się w najlepszym razie z obojętnością.

Próbowałem wtedy wymyślić jakąś spektakularną, gminną imprezę w oparciu o zespół ludowy, kapelę i innereckie zespoły. Myślałem, np. o Folkowej Nocy Sobótkowej nad Iną, ale decydentów tym nie poruszyłem, a mieszkańcy nie mogli się opowiedzieć, bo jeszcze w tym nie uczestniczyli.

I kiedy w wyniku tych wszystkich ograniczeń poczułem, że moja skuteczność w kreowaniu i zaspokajaniu potrzeb kulturalnych mieszkańców Recza tak bardzo zmalała, że przestała przynosić satysfakcję, zaproponowałem, że ustąpię miejsce dyrektora komuś bardziej zmotywowanemu i nie wypalonemu zawodowo, a sam wezmę udział w konkursie na dyrektora ośrodka w Barlinku. Mój pracodawca nie oponował i w taki sposób w 1995 roku nastąpiła zmiana dyrektora. Jednak nigdy nie przebrałem aktywności kulturalnej w Reczu, jeszcze mocniej angażując się wtedy w działalność Towarzystwa Miłośników Recza.

Jakie jest Pana najmiłsze wspomnienie związane z Pana pracą w Domu Kultury? Jakie swoje sukcesy zawodowe mógłby Pan wymienić?

Bardzo wiele było takich najmiłszych wspomnień. Wszystkie wiązały się z krótkimi momentami po każdorazowym zakończeniu imprez, spotkań lub zajęć, które nam się udały. Zadowolenie widzów i uczestników, zarówno dzieci jak i dorosłych dodawało skrzydeł. A sukcesy? To mogą ocenić tylko Ci, którzy uczestniczyli (lub nie uczestniczyli) wtedy w przygotowywanych przez nas działaniach kulturalnych. Jeśli to, co robiliśmy, zapadło im w pamięci, poruszyło ich, wywołało dobre uczucia, może wpłynęło na ich życie – to możemy mówić o sukcesach. Jeżeli zaś tego nie było – to nie ma sukcesów.

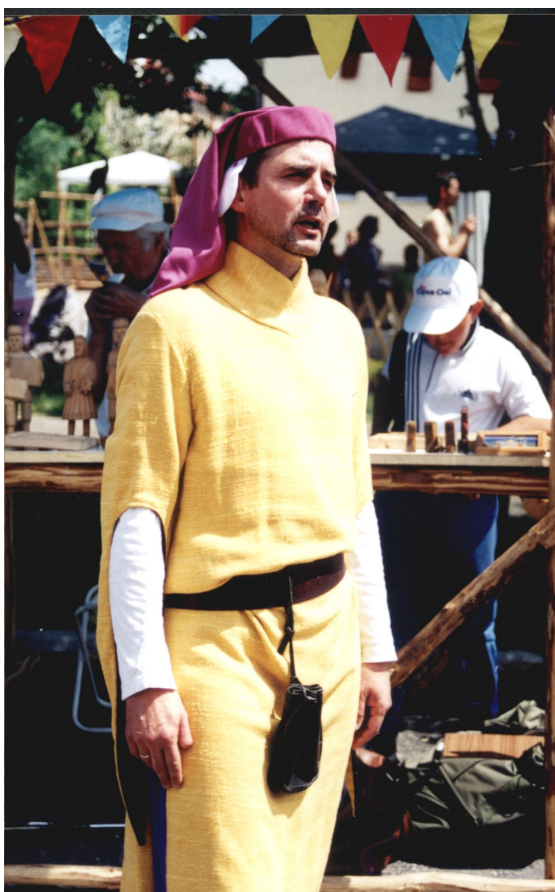
O kim, według Pana, warto pamiętać? Jakie osoby, współpracowników najmilej Pan wspomina?

Pamiętać warto o każdym. O dyrektorze Mariuszu Walaku, którego poznałem, a który był przede mną, o Zdzisławie Kamińskim, Krystynie Kozinie, Ewie Podole, o Anecie Miśkiewicz (Traczyk), o Dagmarze Mikule z Lubieniowa, ale także o Krystynie Kuć-Garus, Ernestie Łuczaku i o pani Zosi Urwentowicz. Albo Państwo Elżbieta i Stanisław Wojdowie. Prawdziwi ludzie kultury, którzy swoje życie związali z kinem, muzyką i aktywnością kulturalną. Pasja ta udzieliła się ich dzieciom. Dzisiaj syn Adam jest aktorem Teatru Strefa Ciszy w Poznaniu, a Ewa, pracując w szkole, sama śpiewa i prowadzi zajęcia wokalne dla dzieci i młodzieży.

Biblioteką wtedy była odrębną instytucją kultury i pracowały w niej panie Elżbieta Kaczewska, Alina Werałso i Grażyna Pięła. Także o tych wszystkich, których nie jestem teraz w stanie wymienić, a którzy często przewijają się w pamięci, jak na filmie. Każdy pozostawił po sobie jakiś ślad w Domu Kultury lub co najmniej wspomnienie.

Jakie są dzisiaj Pana marzenia lub oczekiwania związane z Domem Kultury w Ręczu?

Żeby nikt nigdy nie został zapomniany. Żeby nikt nigdy nie mówił, że teraz dopiero teraz zacznie się prawdziwa działalność, bo wcześniej to nic nie było. Żeby zawsze Dom Kultury cieszył się szacunkiem za wysiłki ludzi, którzy starają się jak mogą i także dzisiaj mają wspaniałe pomysły i sukcesy. Taką to jest praca – satysfakcja zależy od uznania widzów i uczestników zajęć, którzy nie mają obowiązku brać w nich udziału. Czasem skłonienie potencjalnych odbiorców do skorzystania z oferty wymaga wiele nieprzespanych nocy, napięć i wysiłków. Jest wtedy satysfakcja, jeśli się udało. Za to docenia my ludzi kultury. Życzę im, żeby jak najczęściej słyszeli słowa uznania za ich kreatywność i zaangażowanie w animowanie lokalnej kultury. I żeby mieszkańcy zawsze myśleli i mówili: „Nasz Dom Kultury”.



Zbigniew Ligus

Dyrektor Miejsko-Gminnego Ośrodka Kultury w Ręczu od października 1989 do lipca 1995; wykreował średniowieczne jarmarkę i widowiską "Na kupieckim szlaku w Ręczu" oparte na dziedzictwie kulturowym regionu. Był Burmistrz Ręcza (2002-2006). Współzałożyciel Towarzystwa Miłośników Ręcza, członek władz Towarzystwa Miłośników Barlinka i Ręczańskiego Towarzystwa Oświatowego "pro Educatio". Obecnie pracuje w Urzędzie Marszałkowskim Województwa Dolnośląskiego.

NA KUPIECKIM SZLAKU - OD IZOLDY DO ZŁEGO PTAKA



OLGA LEŚNIAK

Proszę opowiedzieć o tym, kiedy Pani przybyła do Ręcza i jak daleko sięgają Pani wspomnienia związane z Ręczem.

Do Ręcza przyjechałam w 1961 r. z Bieszczad i z miasta Łuszczycy Dolne. Był to zakątek Polski, po prostu dzikie Bieszczady. Zgodnie z decyzją mojej mamy wprowadziłyśmy się tutaj do Ręcza. Była tutaj nasza dalsza rodzina. Od września rozpoczęłam naukę już tutaj w Liceum w Choszczynie na ulicy Chrobrego, które istnieje do dzisiaj. Moje pierwsze wspomnienia związane z Ręczem ... [śmiech]. Nie bardzo mi się tutaj podobało, ponieważ byłam przyzwyczajona do terenu górzystego, bardzo pięknego. Natomiast jak już tutaj jechałam pociągami, to wydawało mi się, jakby te tereny nizinne to była jakaś ciągła pustynia. Mało zieleni, budynki bardzo zniszczone, ponemieckie budownictwo. Mówiąc szczerze, byłam przygnębiona, nie podobało mi się tutaj. Nie myślałam, że się tutaj jakoś przyzwyczaję, ale byłam jeszcze młodą dziewczyną, ode mnie to nie zależało, gdzie mieszkam i musiałam się dostosować do tego. Po jakimś czasie zaczęłam się przyzwyczajać i zaczęło mi się nie tyle co podobać, ale tolerowałam środowisko, w którym zaczęłam być. Jednak jeszcze raz podkreślę, że na początku moje wrażenie było przygnębiające. Brakowało mi gór, brakowało mi tej zieleni, lasów, tej przestrzeni, no po prostu byłam wychowana w innym środowisku.

Gdzie Pani zaczęła swoją pracę i na czym ona polegała, i co należało do Pani obowiązków?

Rozpoczęłam studium nauczycielskie, kierunek muzyczny. Trwało to dwa lata i tam były spotkania z dyrektorami szkół, mogliśmy sobie wybrać miejsce, gdzie mogliśmy pracować. Było wtedy duże zapotrzebowanie na nauczycieli, a szczególnie muzyków. Był szeroki wachlarz ról, ale mój opiekun roku zaproponował mi, że jak chcę zarobić, a to ważne dla młodej dziewczyny, to żebym rozpoczęła pracę w powiecie Strzelce Kajeńskie. Była to duża wieś PGR-owska. Była tam wybudowana nowa szkoła dziesięciolatka, bardzo okazały budynek. Pracowało tam wielu pegerowców. Nas tam było kilkanaście młodych nauczycielek. Tam przepracowałam dwa lata. Praca jak dla początkującego nauczyciela była ciężka — trzydzieści sześć godzin. Oprócz wychowania muzycznego uczyłam jeszcze biologii, chemii i miałam klasę I-III. Dostałam II klasę i pracy było bardzo dużo. Jak szłam rano do szkoły, to wracałam 16.00-17.00. Oczywiście sklepy miejskie były już pozamykane, był problem z kupnem jedzenia, więc człowiek wtedy linie miał jak osa. Nie było wtedy właściwie co zjeść, dzieciaki czasem przynosiły jakies warzywa, owoce, jak to na wsi było. Kiedyś odwiedziła mnie mamusia, z moją siostrą, bratem. Stwierdziła, że ja w takich warunkach nie mogę żyć. Wtedy w porozumieniu z dyrektorem Adolfem Długoszem przyjęli mnie w Ręczu do pracy. Mnie to było obojętne, ale mamusia chciała, bym była blisko domu, rodziny.

Powiedzmy sobie szczerze - tęskniłam za domem. Rozpoczęłam w 1970 roku pracę w Reczu. Muzyki tutaj uczyła pani Zofia Maike, więc dla mnie wiele nie zostało, ale pani sekretarka, która była żoną pana Długosza, była chora i było trzeba ją zastąpić. Moja praca zaczęła się dość nietypowo. Przychodziłam o 7.00 do szkoły, godzinę pracowałam w świetlicy, gdzie czekało mnóstwo dzieci, później szłam do sekretariatu. Tam robiłam różne rzeczy. Potem szłam na lekcje, które miałam przydzielone. Miałam muzykę w klasach IV, V, VI i miałam język rosyjski. Pan Długosz to był taki pierwszy mój dyrektor, to był zawsze mój wzór. Wicedyrektorem był pan Michał Sochacki. Był to taki duet dyrektorski, bardzo sprzyjający nauczycielom. Atmosfera była świetna. Nigdy człowiek nie pracował pod żadną presją. Po roku przejęłam już całą muzykę. Był problem, nie było instrumentów i grałam najpierw na skrzypcach, ale wiadomo jak to dzieci chcą śpiewać przy skrzypcach. Sama wolałam pianino, ale skrzypce to był podstawowy instrument na studiach. Łatwiej się już innym śpiewało, jak zostało kupione pianino.

Jakie jest Pani najmiłsze wspomnienie związane z pracą w szkole, jakie swoje sukcesy zawodowe mogłaby Pani wymienić?

Najmiłszy moment, to znaczy oprócz wielu innych przyjemnych rzeczy, które mnie spotykały po drodze, to jak dostałam klasopracownię. Wtedy był wicedyrektorem już mój mąż, ale to nie dlatego, że był on wicedyrektorem [śmiech], ale tak sobie kojarzę, wtedy rozbudowali ten łącznik i tę nową część, która się łączy teraz z gimnazjum. Dostałam pracownię na drugim piętrze z nowym instrumentem, czyli z pianinem. Wtedy poczułam się takim gospodarzem, bo kiedyś to chodziłam po klasach. Jak dostałam już gabinet, to poczułam, że jestem u siebie. Było pianino, były nowe ławki, szafy, na tamte czasy to była taką nowoczesną klasą. Wtedy dużo też dostałam materiałów pomocniczych do muzyki, bo miała być reforma dziesięciolatki. Dostałam piękną płytotekę, całą od pierwszej klasy do ósmej. Różne instrumenty, no moja pracownia była naprawdę dobrze wyposażona. Ksylofony, metalofony, dzwonki chromatyczne, więc miałam tyle, że jak wtedy klasy były bardzo liczne – trzydzieści osób, to miałam dzwonki dla tylu osób. Nie tak, że jedno dzwonki na ławkę albo jedno na cztery, tylko każdy miał swoje. Były klasy, gdzie dzieci były bardzo uzdolnione, było kilka takich klas. Prawie 90% klasy pięknie na wszystkim grało. Jeszcze było tak, że było kilka lat, że ja miałam muzykę od pierwszej klasy do ósmej, więc jak ja zaczęłam z tymi pierwszakiemi prowadzić to wszystko pomału, to było tak, że jak one doszły do ósmej klasy, to jak ja do nich mówiłam językiem muzycznym, to one wszystko rozumiały. Jak kiedyś była u mnie Pani dyrektor na hospitacji, to było dla dzieci wszystko proste, a ona zapytała się, o czym my tu mówimy [śmiech]. Takim językiem fachowym już się z nimi porozumiewałam. Wtedy było tyle lekcji, że u mnie w gabinecie nikt inny lekcji nie miał, bo jak ja zaczęłam rano, to kończyłam 14.00 – 15.30. Wtedy jeszcze w poniedziałki miałam zespół wokalny, były różne zespoły, chóry, także zajęć było bardzo dużo i bardzo dużo było chętnych.

Jak zaczynałam pracę, do chóru wybrałam 60 osób, a chętnych było ponad 100. Jak miałam zespół wokalny z dziewczynkami, to dla nich należenie do tego zespołu, to było takie wyróżnienie. One chciały wszystkie śpiewać, a o ...były takie jakies zdyscyplinowane te dzieci. Chciały wszystkie się uczyć. Ja tam nigdy nie musiałam czekać, że się spóźnią, one na mnie czekały, a nie ja na nich. Lekcje kończyłam, to już dzieciaki czekały. Dziewczyny czekały, bo było już trzeba pośpiewać, a ładnie śpiewały, do dzisiaj wspominam, że one tak chętnie chciały. Ile jest już dorosłych osób, które chętnie występowały, śpiewały. Obsługiwaliśmy wszystkie imprezy, jakie były, a wtedy to były Dzień Pocztownica, Dzień Policjanta, Dzień Remorowca, Dzień Stocznio-wca ... Występy się dawało, wyjeżdżaliśmy do Choszczna na różne konkursy. Oprócz tego był taki zespół, takie harmonijki ustne. Były bardzo różnorodne zajęcia, a chętnych było zawsze dużo, że można było jeszcze więcej takich rzeczy prowadzić.

Jakie wydarzenia najbardziej Pani zapamiętała ze swojej pracy?

Trudno ujednoczyć, doprowadzić do jednego wydarzenia. To były także bardzo dla nas ważne spotkania nauczycielskie z okazji Dnia Nauczyciela. Były bardzo serdeczne spotkania, jak w rodzinie. Nauczyciele sobie nawzajem pomagali, byliśmy dla siebie przyjaciółmi. Starsi nauczyciele nam pomagali. Nasze starsze panie matkowały nam, pomagały nam w tej pierwszej pracy. To były także nasze wspólne spotkania. Wszyscy razem się integrowaliśmy. Takim ważnym wydarzeniem był dla mnie wyjazd do Szwecji z grupą młodzieży. Fundowała nam to Fabryka, to wtedy był zakład opiekuńczy. Wyjeżdżaliśmy z młodzieżą i z panią Ligus, ona prowadziła taki zespół ludowy, a mój mąż kapelę podwórkową. To była taka jakby wymiana młodzieży i nauczycieli. My zobaczyliśmy, jak tam wygląda edukacja. Dla nas to było także doświadczenie. Porównywaliśmy naszą młodzież do tamtejszej. Byliśmy tam na lekcji w trzeciej klasie. Nasza młodzież ich przerastała. Nasz program był taki bogatszy. Nasi robili więcej sami. Tam wszystko mieli przygotowane, ale samo wyposażenie gabinetów przewyższało nasze. To była moja pierwsza podróż za granicę. Młodzież dużo też zobaczyła. Kapela, zespół ludowy występowała dla młodzieży szwedzkiej. My promowaliśmy tam nasze produkty polskie. To była taka wymiana, gdzie później tymi doświadczeniami dzieliliśmy się tutaj. Niektóre rzeczy chętnie byśmy przenieśli stamtąd do nas. Uczniowie mieli tam wyposażenie, wszystko [śmiech]. U nas uczeń musiał się sam wyposażyć, a tam wszystko zapewniała szkoła. Do tego też doszliśmy teraz. Inne także wydarzenia, to wszystkie uroczystości wewnętrzzszkolne. Kiedyś te wszystkie występy, akademie były z pełnym zaangażowaniem. Dużo uczniów się w to angażowało. Cała szkoła tym żyła. To są moje także najmiłsze wydarzenia. To, co dla mnie było jeszcze ważne, to dobudowanie tego łącznika, co wcześniej mówiłam.

Jakie trudności spotkały Panią w związku z Pani pracą? Jakie były wtedy największe problemy?

Nie było instrumentów, klasopracowni, żadnych pomocy dydaktycznych. To się odczuwało na każdym kroku. Później, jak już dostałam gabinet, było lepiej. Ale jakichś trudności nie było. Człowiek musiał sobie jakoś to sam zorganizować. Nie oglądać się i nie czekać, aż spadnie manna z nieba, tylko działać! Wszystko się robiło samemu! Nie było przebacz [śmiech]. Było duże zaangażowanie rodziców. Nie było czegoś, żeby musiała jakoś walczyć. Człowiek przyzwyczajony był. Jak od razu dostanie się wszystko, można się zepsuć. Za to, jak się powoli dąży, można wiele zdziałać. Każda mała pomoc, jakas nagroda człowieka mobilizuje. Jedyne, co chyba mi przeszkadzało, to jakieś problemy zdrowotne, ale to już poza człowiekiem. Na to wpływu się nie miało.

O kým, według Pani, warto pamiętać, jakie osoby, nauczycieli, współpracowników bardziej Pani zapamiętała?

Dla mnie zawsze najważniejszy jest pierwszy dyrektor. Moim autorytetem zawsze był pan Długosz i to nie tylko dla mnie. On ze swoim takim spokojem, mądrością życia, potrafił człowieka naprowadzić. On zawsze taktownie, ze spokojem powiedział, nigdy nie podnosił na nas głosu i my się uczyliśmy tego od niego. Człowiek w nerwach zawsze tam krzyknął, ale pan Długosz nigdy tego nie robił. Był takim dyrektorem, z którego można było naprawdę brać przykład. To był taki dyrektor z prawdziwego zdarzenia. Nie, że on nazywał się dyrektorem, on nie dawał nam odczuć, że jest kým lepszym, ważniejszym. To był taki człowiek, który nam tę pracę jakby ułatwiał. Próbował nam we wszystkim pomóc. Nawet ze mną jeździł na różne przeglądy do Choszczna, a nie musiał tego robić. On do końca był takim autorytetem. Teraz, gdyby kogokolwiek się spytać, to każdy by to potwierdził. Takiego dyrektora to tylko sobie życzyć. On nie był tylko dyrektorem, on był przyjacielem. Szkoda, że mówimy już w czasie przeszłym. Jak przyszedłam do pracy, to miałam jedną koleżankę, z którą się znałam ze studiów. To była Paulina Piwowa, znałyśmy się, bo razem byłyśmy w liceum w Choszcznie, potem razem poszłyśmy do Gorzowa do studium, tylko ona kończyła biologię z wychowaniem fizycznym, a ja kończyłam inny kierunek. Ona przyszła tutaj do pracy, a ja przez dwa lata gdzieś indziej się starałam. Jak tu przyszedłam, to miałam taką ostoję, bo był ktoś znajomy, więcej tutaj nikogo nie znałam. Nie byłam stąd, ja ludzi nie znałam, dzieci, nikogo. Przyjście tutaj do pracy wspomi-

nam bardzo przyjemnie. Mądrość starszych nauczycieli, one nie były jakoś bardzo starsze ode mnie, to była pani Pawłowska, pani Kusiova. Były takie życzliwe, nigdy nie dały odczuć, że są starsze to ważne, a my młode to nic nie umiemy. One były dla nas takie koleżeńskie, życzliwe. Przyjemnie nam się pracowało. Potem jak dostałam gabinet na górze, obok dostała pani Pawłowska. Cały dzień byłyśmy razem. Na przerwach się spotykałyśmy, także można nawet tak powiedzieć, że się zaprzyjaźniłyśmy. Polubiłyśmy się, miałyśmy takie wspólne cechy charakteru. Ona była taką spokojną, a ja to jestem tak bardziej „raptus” [śmiech] i to wszystko się tak łączyło. Ona zawsze mówiła „Olunia, nie denerwuj się, wszystko będzie dobrze”. Ta przyjaźń trwa do dzisiaj. Jak się spotykamy, to nie spotykamy się jako koleżanki z pracy, tylko nawet więcej. Z paniami, z którymi pracowałam, kiedy się dzisiaj spotkam, zawsze rozmawiamy, wspominamy. Panie, które teraz uczą, to w większości moje były uczennice i też z nimi mam bardzo dobry kontakt. Większość to śpiewa teraz w „Olíbabkach” np. Pani Ewa Wojda [Kociuba], Pani Bogusia Pieciukiewicz, Pani Aneta Kował, moja siostra [śmiech], ją też uczyłam. Moja siostra to była w mojej klasie, byłam jej wychowawczynią – tak trafiła [śmiech]. Myślę, że te moje były uczennice to mnie tak źle nie wspominają, chociaż ja jestem taką krzykacz [śmiech]. Myślę, że nie mam żadnej takiej osoby, do której bym czuła taką awersję, czy mi ją ktoś krzywdę zrobiła. Wszystko jest przyjemne, tak jak powinno być w rodzinie nauczycielskiej. Tak życzę tym młodym, żeby tak trzymali, bo to jednak jest ważne. Atmosfera w pracy jest bardzo ważna. Trzeba być tolerancyjnym, akceptować każdego, ale mieć swoje zdanie i wtedy nie ma problemów.

Chciałyśmy się spytać jeszcze o uczniów.

Miałam szczęście do takich klas dobrych, chociaż osobiście lubiłam takie klasy bardziej żywiołowe. Lubiałam uczniów z werwą, bo sama taką byłam. Miałam bardzo liczne klasy, 30 - 37 osób. Zawsze miałam satysfakcję, gdy poradziłam sobie z jakimś problemem. Uczeń był niezdyscyplinowany, a mi się udawało do niego dotrzeć. Miałam też takich uczniów, którzy nie robili nic dobrego. Był taki uczeń, który w ósmej klasie pod koniec roku powiedział, że nie będzie chodził do szkoły, ale poradziłam sobie z nim i skończył [śmiech]. Uczniowie w starszych klasach to już są wrażliwsi na swoim punkcie. Wielu moich uczniów jest teraz w zawodzie nauczycielskim. Z wieloma uczniami mam do dzisiaj kontakt. Niektórzy mają już dorosłe dzieci. Jeden z moich wychowanków został księdzem – ksiądz Kokorzycki i z nim do dzisiaj też mam bardzo dobry kontakt. Mielśmy około trzech spotkań klasowych. Dużo moich uczniów wyemigrowało, nie ma ich tu. Wspominam wszystkich miło. Życzyłabym wszystkim takim uczniom. Jak się uczniom da trochę dobrego serca, to to wróci. Dopiero po jakimś czasie uczniowie doceniają swoich wychowawców. Potrafiłam sobie poradzić z naprawdę ciężkimi przypadkami. Nieraz pan Długosz mówił „weźmie pani tę klasę, poradzi sobie pani z nimi” i ja ich brałam [śmiech]. Nigdy nie chciałam zaszkołdzić uczniowi. Nawet na wywiadówkach zaczynałam od tego co dobre, a to złe gdzieś tam przemycałam. Ta praca sprawiała mi dużo przyjemności. Jak już byłam na emeryturze i jak mnie poproszono, abym popracowała w Lubieniowie, to zgodziłam się i mogłam wrócić pamięcią do dawnych czasów. Pracy nauczyciela się nie zapomina. Gdyby nie problemy zdrowotne, pewnie pracowałabym dalej. Bardzo miło pracowało mi się z panem Mikułą.

Czy mogłaby Pani opowiedzieć nam o Pani mężu, Panu Leśniaku- jako o muzyku i nauczycielu ?

Mój mąż rozpoczął tu pracę dużo wcześniej ode mnie. Od razu po liceum. Pracował rok. Potem poszedł do wojska i po wojsku znowu wrócił tutaj. Nauczał historii, zajęć praktyczno-technicznych i miał trochę muzyki. Prowadził zespół mandolinowy. Jak ja przyszłam tutaj do pracy, to on już tylko uczył historii. Później jak pan Sochacki wprowadził się do Choszczna, to mąż został wicedyrektorem. I nadal wykładał historię i doszedł mu wos. Po jakimś czasie założyli kapelę. W całym powiecie nie było takiej kapeli. Była na bardzo wysokim poziomie, mieli piękne stroje, jeździli na wszelkie festiwale, dostawali nagrody, wyróżnienia. Kaziu grał na skrzypcach, śpiewał i prowadził konferansjerkę. Potem stopniowo wyłamywali się z tej kapeli, ale mąż był w międzyczasie dyrektorem Domu Kultury, wtedy tam dużo się działo. Wprowadził wielkie zmiany, które brawurowo owocowały. Tam była i kawiarnia, i zespoły występowały. Był zaangażowany w rozbudowę tego pionu, wyposażanie sal. Z tego co wiem, był świetnym nauczycielem. Potrafił wykładać. Uczniowie sobie go chwaliли. Był bardzo konkretny. Miał dużo pracy jako zastępca. Był też radnym. Przeszło 20 lat był ławnikiem w sądzie.

Organizował kolonie. Kiedyś wszyscy rodzice pracowali! Czekaliśmy na wakacje, żeby wyjeżdżać na różne biwaki, wycieczki. To był taki miły okres naszego życia. Ważne, szczególnie dla uczniów, były wykopki [śmiech]. Lubili to, bo mogło im tam parę groszy wpaść do kieszeni i przez trzy dni nie było lekcji [śmiech]. Był taki uczeń, który zawsze był liderem w zbieraniu ziemniaków. Zawsze zarobił tyle, że aż w głowie się nie mieści, żeby tak młody człowiek zarobił tyle pieniędzy. Dla dorosłego może i nie było to dużo, ale dla młodego człowieka to było bardzo wiele. Tak mobilizował klasę, że pracowali jak jeden mąż! Niektórzy nawet sobie kartofle wyrwali, aby mieć więcej! [śmiech].

Czego Pani najbardziej żałuje w związku ze swoją pracą ?

No... że już nie pracuję [śmiech]. Nie żałuję niczego i gdybym dzisiaj miała podjąć decyzję, co mam w życiu robić, to z pełną świadomością wybrałabym ten zawód po raz drugi. Chociaż jest to trudny zawód, to niczego w moim wyborze pracy nie żałuję. Czego bym mogła żałować? Może tego, że mogłam jeszcze więcej dać od siebie? Chociaż w tej chwili nie mam jakis wyrzutów sumienia. Może teraz bym była trochę łagodniejsza? Ale łagodność z moim charakterem to nie po drodze [śmiech]. Podsumowując powiem, że naprawdę niczego nie żałuję. Tylko, jak już mówiłam, żałuję tego, że moja praca w tym zawodzie już się skończyła. Nieraz, gdy wchodzę do szkoły i słyszę te krzyki i hałas, przez chwilę cieszę się, że moja praca się już skończyła, ale po chwili przyzwyczajam się i jeszcze raz z uśmiechem na twarzy mogłabym codziennie wchodzić w ten hałas.

Jakie są Pani oczekiwania i marzenia związane z zawodem, który Pani wykonywała?

Moim marzeniem jest to, by w tym zawodzie znajdowali się ludzie, którzy kochają i rozumieją dzieci i młodzież, i traktują swój zawód jako pracę z dodatkiem pasji. Żeby to była dla nich przyjemność, a nie obowiązek. Niestety, ja już nic nie mogę zrobić w tym kierunku, ale ci, co decydują się na bycie nauczycielem, muszą wiedzieć, że to jest wieczny zawód. Tu nie można odejść od biurka i powiedzieć „koniec na dzisiaj”. Tu trzeba dać dużo od siebie, być wyrozumiałym dla tych, z którymi się pracuje i kochać to, co się robi! Ja zawsze żartowałam, że robię to, co lubię i jeszcze mi za to płacą [śmiech]. Bywały gorsze dni, ale zawsze się wraca do tych rzeczy przyjemnych. To jest samo życie, a życie jest takie, że się składa z dobrych rzeczy i ze złych.



Olga Leśniak

nauczycielką muzyki w Szkole Podstawowej im. Stefana Czarnieckiego (obecnie na emeryturze), założycielką zespołu Olíbabki, często przewodniczy w jury podczas konkursów wokalnych. (Na zdjęciu piąta z lewej)



MARZENA ŻYBKO

Kiedy przybyła Pani do Ręcza i jak daleko sięgają Pani wspomnienia związane z Ręczem?

Urodziłam się tutaj. Była porodówka tam, gdzie jest dzisiejsza przychodnia - u góry. Także ja jestem w Ręczu rodzona, wychowywana i do dzisiaj tutaj mieszkam.

Gdzie Pani zaczęła swoją pracę, na czym ona polegała i co należało do Pani obowiązków?

Pierwszą swoją pracę, zaraz po szkole średniej, zaczęłam w Gminnej Spółdzielni w Ręczu. Pracowałam w piekarni jako rozliczeniowa. Zajmowałam się dokumentacją, która była niezbędna przy tego typu działalności. Następnie zajmowałam niektóre stanowiska w urzędzie - w Gminnej Spółdzielni, w księgowości, w sekretariacie ... takżę dość duży przekrój doświadczeń. Potem pracowałam w przedszkolu. Później prowadziłam swoją działalność, a teraz - razem z mężem - staram się prowadzić ten mały sklep, który mamy.

Była Pani przewodniczącą Rady Rodziców w Gimnazjum w Ręczu.. Jakże jest Pani najmiłsze wspomnienie związane z Pani pracą w szkole i jakże swoje sukcesy mogłaby Pani wymienić?

Tak właściwie przewodniczącą to byłam zawsze, od momentu jak już tylko dzieci chodziły do jakiegokolwiek instytucji - jak ja to mówię: „Od przedszkola, do Opola”. Od 2001 roku byłam przewodniczącą Rady Rodziców w Gimnazjum, bo wtedy poszedł mój starszy syn. Powiem tak - ja mam zawsze wspaniałe doświadczenia, bo bardzo lubię młodych ludzi i uważam, że mam z nimi bardzo dobry kontakt. To jest bardzo wspaniały etap w życiu, kiedy się po jakimś czasie wróciło do swoich wspomnień, do swoich czasów szkolnych. Jakże mam osiągnięcia?... Myślę, że na pewno są dość duże, mogłoby to poświadczyć dyrektorzy placówek i ewentualnie nauczyciele, ponieważ starałam się nie być tylko przewodniczącą na papierze, ale też coś robić. Mieliśmy zawsze fantastyczną grupę. Wspierali nas nauczyciele, kolejni dyrektorzy placówki. Bardzo dużo zakupiliśmy sprzętu: na przykład telewizory, łukę. Naszym pomysłem były szachy, piękna gablota, która jest na korytarzu, gdzie są wszystkie puchary. Uczestniczyliśmy w całym życiu Gimnazjum, gdzie na pierwszych zebraniach były ustalane harmonogramy działań: nauczyciele mieli swoje propozycje, gdzie by był udział Rady Rodziców. Rada Rodziców zawsze starała się być z nimi, organizować jakiegokolwiek imprezy, czy to „Wieczór Kolęd”, czy imprezy sportowe, czy dzień dziecka lub turniej im. Krzysztofa Hołuba. Mnie się wydaje, że my byliśmy chyba wszędzie. Tak ja to odbieram.

Jakże wydarzenia najbardziej Pani zapamiętała ze swojej pracy?

Jakże wydarzenia?... Budowała się wtedy hala. W drugim lub trzecim roku... kiedy w Gimnazjum jeszcze nie było wszystkiego. Trzeba było zadbać o jakiegokolwiek wyposażenie, o jakies dodatki. Ciekawą imprezą, którą wspólnie zaczęliśmy robić z nauczycielami, były Andrzejki. Dyrektorem była jeszcze Pani Róża Ligus - wówczas padła propozycja robienia zabaw charytatywnych. To było takżę zarobkowe, gdzie świetnie się to robiło. Były wroźby. No ale po jakimś czasie, że tak powiem, upadło. Nie chcieliśmy wchodzić w karnawał, ponieważ było już to zarezerwowane dla szkoły podstawowej, więc przez kilką lat robiliśmy zabawę andrzejkową. Powiem wam, że było świetnie. Świetnie się bawiliśmy. Robiliśmy różne fanty na loterię. Trzeba było je zdobywać. Była masa śmiechu

i było bardzo ciekawie. Te pieniądze, które zarabialiśmy, staraliśmy się inwestować w pomoce dla szkoły i dla młodzieży, żeby te imprezy, które będą planowane, były w miarę, tak jak ja to mówię, „na bogato”.

Jakie trudności napotkała Pani w związku ze swoją pracą i jakie były kiedyś największe problemy?

Ja chyba nie napotkałam większych trudności, ponieważ starałam się brać życie we własne ręce. Kończąc maturę, poszłam do GS-u, później przeniosłam się do przedszkola. Potem był czas, kiedy były redukcje etatów, kiedy było nas mniej. Wtedy podjęliśmy z mężem decyzję, że coś trzeba otworzyć swojego, no i tak to się do dziś układa – raz z lepszym, raz gorszym skutkiem, ale nie narzekam.

A problemy w pracy w gimnazjum?

Problemów w pracy w gimnazjum nie było. Z racji tego, że tak właściwie rodzice byli największą władzą, ponieważ Rada Rodziców miała bardzo duże uprawnienia. Zresztą ma też na pewno i do dzisiaj. Była bardzo dobra współpraca z dyrektorami, z nauczycielami. Wszyscy byli oddani dla młodzieży. Po „grudzie” czasami szło, ale mnie to wcale nie zniechęcało, wręcz nakręcało. Jestem typem człowieka, który lubi robić. Jak mam jakieś zadanie, to staram się to robić jak najlepiej. Na pewno, może gdzieś tam jednemu się to spodoba, innemu nie, ale tak to w życiu bywa. Nigdy na to nie patrzyłam, bo inaczej trzeba byłoby się wycofać ze wszystkiego, co chciałoby się zrobić. Uważam, że zrobiliśmy, również ja osobiście zrobiłam, kawał fajnej roboty. Czego najważniejszym dla mnie dowodem uznania jest to, że byli uczniowie, byli wychowankowie, jeszcze od przedszkola, kiedy pracowałam, ale również w gimnazjum, którzy są już dorosłymi ludźmi i mówią zawsze „dzień dobry”, uśmiechną się. To jest chyba najlepsza zapłata za taką całość tej mojej pracy. To jest chyba najcudowniejsze w tym wszystkim, ponieważ tego nie da się przeliczyć na jakiegokolwiek pieniądze.

O kim według Pani warto pamiętać? Jakie osoby, współpracowników lub uczniów najmniej Pani wspomina i kto odgrywał znaczącą rolę w społeczności w szkole?

Pamiętam wspomniały moment, kiedy przyszło do nadania imienia patrona dla gimnazjum. Młodzież miała różne pomysły. Były chyba pomysły olimpijczyków polskich, był i Czesław Niemen, a ja byłam orędownikiem idei, że powinniśmy uhonorować imieniem szkoły Pana Długosza. Nigdy się w historii podobno nie wydarzyło coś takiego, że żyjąca osoba już jest patronem. Powiem szczerze, jako była uczennica Pana Długosza, dla mnie to było jedno z takich bardzo dużych przeżyć i jestem dumna, że gimnazjum nosi jego imię. To był bardzo doniosły moment.

Bardzo mi się dobrze pracowało z Panią Różą Ligus, z Panią Agnieszką Kajtowską, z Panią Gosią Dyką - Szwarz, z Panią Asią Urbańską. Z resztą - wszyscy pracownicy w gimnazjum byli bardzo otwarci, od nauczycieli do pracowników administracji i obsługi. Jeśli jakiegokolwiek była inicjatywa z naszej strony, nigdy nie spotkaliśmy się z jakimkolwiek sprzeciwem, że to już jest poza ich czasem pracy czy cokolwiek. Naprawdę - ci ludzie byli z nami. Na przykład przy tych andrzejkach, które wspólnie robiliśmy, czy przy różnych imprezach typu: Turniej Houfba, jak dzień dziecka: było to tak naprawdę fantastycznie organizowane.

Z uczniów powiem szczerze, że ciężko mi jest konkretnie kogoś wymienić, ponieważ ja każdego z nich lubiłam, nawet tych urwisów. Dzisiaj po latach jak ze starszym synem rozmawiam, to nawet z jego klasy różni byli

chłopcy i dziewczyny. Młodzież jest w ogóle wspaniała, ja ją lubię i uważam, że tylko trzeba umieć z nich wydobyć to, co jest najlepsze.

Czego Pani najbardziej żałuje w związku ze swoją pracą na rzecz szkoły?

Myszę, że chyba nie mam czego tak do końca żałować. Zawsze można byłoby zrobić więcej, może coś lepiej. Ale uważam, że ja z tą ekipą zrobiliśmy wcale niemało i nie mamy chyba się czego wstydzić. Zawsze innym poprzeczkę można było podnieść. Nie wiem, jak jest teraz, bo już moi synowie są dorośli, już nie są w szkołach, więc ciężko mi się odnieść, ale myślę, że jest ciekawie.

Jakie są dzisiaj Pani marzenia lub oczekiwania związane ze szkołą?

Jakie są moje marzenia?... Powiem tak, moje dzieci już skończyły szkołę, wnuków jeszcze nie mam. Na pewno chciałabym, żeby szkoła była dla młodych ludzi. Myślę że tak jest, ale żeby uczniowie mogli być sobą. Pewnie pozmieniałabym trochę, gdyby to ode mnie zależało: na przykład usunęłabym te wszystkie niepotrzebne rzeczy, które są w programie nauczania, ponieważ potem zapomina się tych niezbędnych ... ale każdy nauczyciel ma swój sposób podejścia. Szanuję nauczycieli, którzy potrafią zająć ucznia przez 45 minut lekcji, tam wtedy nie ma żadnych problemów. Ja tak myślę, i zawsze powtarzam, że każdy ma swoją godność, każdy ma prawo wypowiedzenia się i zawsze mówiłam, że nauczyciele są dla uczniów.



Marzena Żybkó

Wieloletnia Przewodnicząca Rady Rodziców w Gimnazjum im. Adolfa Długosza w Ręczu, uhonorowana tytułem Przyjaciela Szkoły.

GIMNAZJUM IM. ADOLFA DEUGOSZA - OBECNIE



DANUTA BABIAK

Proszę powiedzieć o tym, kiedy Pani przybyła do Ręcza. Jak daleko sięgają Pani wspomnienia związane z Ręczem.

Można powiedzieć, że nie jestem tutejsza. Na teren gminy Ręcz przybyłam w 1971 r. i zamieszkałam z rodzicami w Grabowcu. Następnie otrzymałam mieszkanie przy szkole w Nętkowie, a później w Lubieniowie. Mieszkałam w Ręczu od 1979 roku.

Gdzie Pani zaczęła swoją pracę? Na czym polegała Pani praca? Co należało do Pani obowiązków?

Jako absolwentka Studium Nauczycielskiego w Kołobrzegu otrzymałam od szkolnej komisji zatrudnienia propozycję pracy w charakterze nauczyciela wychowawcy w szkole podległej Kuratorium Okręgu Szkolnego w Szczecinie, Inspektorat Oświaty w Choszcznie.

Chciałam pracować blisko rodziców, więc skorzystałam z tej oferty i 12 sierpnia 1971 roku podpisałam umowę o pracę. Przyjęłam obowiązki nauczyciela ośmioklasowej Szkoły Podstawowej w Nętkowie w wymiarze 26 godzin zasadniczych. Dyrektorem szkoły była wówczas pani Stróżyńska. Bardzo miło wspominam ten okres pracy. Pracowali wtedy: p. Daniela Glińska, p. Zdzisława Tukiendorf, p. Jadwiga Filipek, państwo Bożykowie. Uczyłam języka polskiego, zgodnie z moim kierunkiem, ale nie tylko. Pamiętam, że prowadziłam przez pewien okres zajęcia w I klasie. Przy Szkole Podstawowej w Nętkowie istniała również wieczorowa Szkoła Podstawowa dla dorosłych. Moim zadaniem było wpajanie wiedzy polonistycznej „starszym”.

W 1973 roku został obniżony stopień organizacyjny szkoły w Nętkowie – pozostały klasy I-IV, a ja zostałam służbowo przeniesiona do Szkoły Podstawowej w Lubieniowie. Pracowałam tam 32 lata. Uczyłam języka polskiego, a gdy brakowało nauczycieli, to dyrektor przydzielał mi obowiązki nauczania historii, biologii, geografii. Przez wiele lat prowadziłam bibliotekę szkolną, byłam opiekunem Spółdzielni Uczniowskiej, prowadziłam drużynę harcerską, kółko polonistyczne, teatralne, Samorząd Uczniowski. Po 34 latach pracy w szkole przeszłam na emeryturę.

Jakie jest Pani najmiłsze wspomnienie związane z Pani pracą w szkole? Jaką swoje sukcesy zawodowe mogłaby Pani wymienić?

Moje najmiłsze wspomnienia związane są z pracą w Szkole Podstawowej w Lubieniowie, gdy dyrektorem był Pan Bolesław Leśniański. Poznałam wtedy wspomniałych nauczycieli. Tworzyliśmy dobry zespół, nie tylko w pracy, ale i poza nią. Uczyli wówczas p. Bernarda Wachowską, p. Jadwigę Połec, p. Janina Leśniańską, p. Helena Kogut, p. Koletta Krauze. Bardzo dobrze pracowało mi się, gdy do szkoły przybyli p. Krystyna i Andrzej Kozaneccy. Wspólnie przygotowywaliśmy wiele imprez artystycznych i sportowych dla dzieci oraz dla mieszkańców wioski. Do dziś pamiętam wspiane bale przebierańców.

Jeśli chodzi o szkołę, to dla mnie sukcesem było, gdy uczeń otrzymywał promocję do następnych klasy. Cieszyłam się, gdy uczniowie zdali egzamin do szkoły średniej i później sobie dobrze radzili. Starałam się sumiennie wykonywać swoje obowiązki. Nie lubię się chwalić, ale pamiętam, że za swoje osiągnięcia w pracy dydaktyczno-wychowawczej otrzymałam nagrodę Kuratora Oświaty i Wychowania w Gorzowie, to było chyba w 1983 roku. Wielokrotnie byłam nagradzana nagrodą dyrektora, a za swoją działalność w ZNP zostałam odznaczona Złotą Odznaką w 1995 roku.

Jakie wydarzenia najbardziej Pani zapamiętała ze swojej pracy?

Wiele mam wspomnień z pracy. W pamięci jednak utkwiło mi prowadzenie tzw. lekcji koleżeńskich z języka polskie-

go. Do zajęć byłam dobrze przygotowana, ale miałam dużą treść, bo oceniali mnie nauczyciele. Wszystko oczywiście poszło dobrze. Spotkania po takich lekcjach były bardzo budujące, nauczyciele czuli się bardziej zżyci ze sobą, trzymali się razem, wymienialiśmy się doświadczeniami. Na podobnych konferencjach organizowanych w innych szkołach mogliśmy zobaczyć, co dzieje się w innych placówkach, zacieśniały się więzi między szkołami.

Jakie trudności napotkała Pani w związku ze swoją pracą? Jakże były wtedy największe problemy?

W tych czasach, gdy pracowałam, musiałam dużo czasu poświęcać na przygotowanie się do lekcji, brakowało wielu pomocy naukowych, więc trzeba było wykonywać je samemu. Siedziało się długo po nocach.

O kým, według Pani, warto pamiętać? Jakże osoby, współpracowników, uczniów najmilej Pani wspomina? Kto odgrywał znaczącą rolę w społeczności szkolnej?

Podczas moich lat pracy w Szkole Podstawowej w Lubieniowie przewinęło się wielu nauczycieli. Według mnie każdy z nich zostawił jakąś część, jakies wspomnienia. Wszyscy tworzyliśmy historię szkoły.

Najmilej jednak wspominam dyrektora szkoły pana Bolesława Leśnińskiego. Za jego kierownictwa do pracy przychodziło się z przyjemnością, wzajemnie się szanowaliśmy, nikt się nie wywyższał. Mogę powiedzieć, że szkoła była dla mnie wtedy drugim domem. Bardzo ciepło wspominam pracowników obsługi, zwłaszcza panią Celinę Staszak, która zawsze służyła pomocą, była niezastąpiona.

Jeśli chodzi o uczniów, to najbliższe są mi p. Lucyna Pater (z d. Klich) oraz p. Wiesława Horoszkiewicz (z d. Juszczak) – kiedyś je uczyłam, a potem były moimi koleżankami z pracy. Pamiętam wielu uczniów, często przeglądam zdjęcia i z sentymentem wspominam moje klasy.

Czego Pani najbardziej żałuje w związku ze swoją pracą?

Niczego nie żałuję. Od dziecka marzyłam, by być nauczycielką, więc moje marzenie się spełniło.

Jakże są dzisiaj Pani marzenia lub oczekiwania związane z zawodem, który Pani wykonywała?

Pragnę, by zawód nauczyciela był doceniany przez społeczeństwo. By zbyt często nie następowały zmiany w oświacie. Najważniejsze to jednak, aby nauczyciele nie musieli obowiązków zawodowych przynosić do domu.

Gdy przeszłam na emeryturę rozumiałam, że praca zawodowa pochłaniała mi zbyt wiele czasu, zabierała czas rodzinny.



Danuta Babiak

Nauczycielka języka polskiego w Szkołach Podstawowych w Nętkowie i Lubieniowie. Obecnie na emeryturze. (Na zdjęciu trzecia z prawej).

SZKOŁA PODSTAWOWA W NĘKOWIE I LUBIENIOWIE



O SZKOLE W POMIENIU OPOWIADAJĄ: JANINA PAWŁOWSKA, MAŁGORZATA DYKA - SZWARC, JAGODA SZCZĘSNA, GRAŻYNA MĄDRZAK

Jeżeli chodzi o szkołę w Pomieniu, to - według nas, pracujących w tej placówce - „małe jest piękne”. Mimo że budynek szkoły - dawny pałac - jest duży, to szkoła była mała. Mało uczniów, nauczycieli i pracowników obsługi.

Od 17 lat szkoła już nie istnieje, ale w naszych sercach jest ciągle. Tu spędziłyśmy swoje najpiękniejsze lata pracy zawodowej. Tu zawiązałyśmy nasze przyjaźnie. Do dzisiejszego dnia spotykamy się i wspominamy to, co było - uczniów, ich rodziców oraz nauczycieli.

Przez ostatnie 22 lata szkołą kierowała p. Grażyna Mądrzak. Do pracy miała najbliżej z nas. Wszyscy byliśmy dla siebie koleżeńscy.

W trakcie pracy zawodowej każdy z nauczycieli odnosił sukcesy w różnych dziedzinach. Na przykład sukcesy w biegach dzieci osiągały dzięki wielkiemu zaangażowaniu Włodka Jasińskiego. Teatralne przeglądy oraz konkursy recytatorskie, nagrody w powiecie i województwie, to sukcesy Jagody Szczęsnej. Konkursy plastyczne - uczniów przygotowywały Małgosia Dyka - Szwarz oraz Janka Pawłowska.

Stale coś się działo! Na przykład zbiórki makulatury, kasztanów, itp.. Prowadzony był sklepik szkolny, SKO. W szkole organizowaliśmy różne uroczystości z występami dzieci, a nawet nauczycieli. Prężnie działał samorząd szkolny kierowany przez Halinę Jagiełło. Co roku wysyłała dzieci w Polskę - organizowała wycieczki. Wszystko to jest opisane w Kronice Szkoły, prowadzonej przez dyrektorkę - Grażynę Mądrzak. Kroniką obecnie znajduje się w bibliotece wiejskiej w Pomieniu.

Jeżeli chodzi o trudności, jakie pojawiały się w naszej placówce, to może i takie napotykałyśmy, ale nie przeszkadzały nam one w tym, co robiliśmy. W końcu problemy są po to, żeby je rozwiązywać.

Gdybyśmy miały wymienić osoby, które warto pamiętać, to myślimy, że stopień zaangażowania w życie szkoły wszystkich pracowników był na tyle wysoki, iż trudno kogoś wyróżniać. Jedynie podkreślimy rolę p. Haliny Jagiełło, która była głównym pomysłodawcą różnych projektów.

Jeżeli chodzi o to, czego żałujemy w związku ze swoją pracą, to tylko tego, że placówkę zlikwidowano i to w momencie jej najlepszej świetności (bardzo wysoką oceną pracy szkoły przez władze gminne).



IRENA POCHA

Kiedy przybyła Pani do Ręcza i jak daleko sięgają Pani wspomnienia związane z miastem?

Od 1959r. Dokładnie od 1 września. Moje wspomnienia sięgają zatem już ponad 60 lat.

Gdzie zaczęła Pani swoją pracę?

Swoją pierwszą pracę zaczęłam w Bielsku Białej. Kiedyś mieliśmy małe i duże matury. Ja po maturze małej - po dziesięciu klasach - poszłam do pracy. Miałam wtedy dwadzieścia lat. Pracowałam w fabryce opakowań blaszanych, żarówki tam robiliśmy.

Na czym polegała Pani praca?

Byłam rachmistrzem oddziałowym. Pamiętam, że pracowało wówczas sześćdziesiąt osiem kobiet, które wkręcały te żarówki. Mój mąż był tam mistrzem, a ja byłam rachmistrzem. I właśnie tam myśmy się zapoznali. Miłość prawie jak w filmie (śmiech).

W Ręczu pracowała Pani w kinie. Jakie jest pani najmiłsze wspomnienie związane z tą pracą?

Było stare kino, były bardzo fajne filmy. Byłam bileterką. Wpuszczałam do kina młodzież. W nowym kinie puszczano lektury szkolne, w starym, niestety nie. Sprowadzaliśmy te lektury ze Szczecina, a dzieci przychodziły z przedszkola na bajki co tydzień, czasem dwa razy w tygodniu. W niedzielę mieliśmy tzw. poranki. Wtedy nie było telewizorów, więc bardzo dużo ludzi przychodziło oglądać filmy.

Przede wszystkim były estrady, przyjeżdżali do nas aktorzy. Osoby pracujące w „PGR-ze” dostawały bilety za darmo, ponieważ wykupywała je dyrekcja. Ludzie przyjeżdżali czym mogli - traktorami, autobusami.

Jakie swoje sukcesy zawodowe mogłaby Pani wymienić?

Sukcesów zawodowych dużych nie miałam. Gdy byłam sportsmenką, to można było je wymieniać. Byłam na przykład Mistrzynią Polski w wieku 17 lat w slalomie gigancie. Bielsko Białe, Szczyrk... to wszystko to miasta w górach. Specjalizowałam się w sportach zimowych. Grałam także w tenisa. Muszę powiedzieć, że jeszcze 3-4 lata temu, kiedy jeździliśmy do Bielską, to na tych nartach jeździłam. Teraz już bym się bała.

Jakie wydarzenia czy postaci najbardziej zapamiętała Pani ze swojej pracy?

Bardzo przyjemnie mi się pracowało przede wszystkim z państwem Wojda. Pan Stasiu Wojda ... on był operatorem w kinie, pani Ela była kierowniczką kina. Ja wpuszczałam dzieci do kina, sprawdzałam ich legitymacje.

Jakie trudności napotkała Pani w związku ze swoją pracą?

Tutaj nie miałam żadnych. Byłam bardzo zadowolona i lubiłam to. Coraz mniej ludzi zaczęło przychodzić, kiedy zjawily się telewizory, później poszłam już na emeryturę. Potem pracowałam jeszcze na kontroli w Szelu.

Co może Pani powiedzieć o relacjach międzyludzkich, o znajomych, sąsiadach?

W każdym razie było lepiej niż jest teraz. Ludzie byli bardziej otwarci na siebie. A teraz ja to jestem ja, a ty to jesteś ty. Ludzie zapowiadają swoje przyjścia przez telefon, a kiedyś po prostu otwierali drzwi do domu i wchodziła. [...] A pamiętam pierwsze mieszkanie, jak tutaj przyjechaliśmy. Dostaliśmy je od Remoru ... tutaj na rogu na ulicy Śródkowej, zakład wyremontował nam tam kuchnię i pokój. Pamiętam, że nie mieliśmy wtedy tam wody, musieliśmy chodzić po wodę do pompy.

Ma Pani obecnie jakieś marzenia czy oczekiwania związane z zawodem, który pani wykonywała?

Teraz to nie mam już żadnych. Żadnych oczekiwań ani niczego. W tym wieku to już interesują mnie wnuki czy prawnuki ... i jeszcze pozwidzałabym trochę. Na południu jest więcej ciekawych miejsc, ale mimo wszystko w Ręczu - tutaj - bardzo dobrze się zawsze żyło. Kiedyś było tutaj biedniej, ale i tak było bardzo dobrze. W latach 60. naprawdę było biednie, ale człowiek obstawał jeden za drugim i było całkiem inaczej. Meble trzeba było kupować w kolejkach, nic wtedy nie było. W sklepach tylko ocet, olej. Cukier, mięso „na kartki”. A teraz? Masz pieniądze, masz wszystko. Granice otwarte, można wyjeżdżać. Ile po studiach dzieci pracuje teraz za granicą, bo tutaj nie ma pracy. Kiedyś ten zakład - Remor podchodził pod stocznnię. Wyrabiano sprzęt okrętowy, drabiny. Kiedy zamknęli stocznnię w Szczecinie, bardzo dużo ludzi straciło pracę. Pracowało tam ponad dziewięć tysięcy ludzi, liczba, jaką zatrudniał Remor, to było około 500 osób.

A wracając do polskiej młodzieży. Polską młodzież jest bardzo zdolna. Kiedyś co mieli robić? Siedzieli i się uczyli.

A Polska? Też jest naprawdę ładnym krajem.



Irena Pocha

Wiele lat pracowała w kinie Zorza w Ręczu jako bileterka (pierwsza z lewej na pierwszym planie)



GRAŻYNA PIGUŁA

Proszę opowiedzieć o tym, kiedy przybyła Pani do Ręcza.

12 października 1974 roku.

Jak daleko sięgają Pani wspomnienia związane z Ręczem?

Od sierpnia 1974 roku.

Kiedy zaczęła Pani swoją pracę w Bibliotece Miejskiej w Ręczu?

W bibliotece zaczęłam pracować 1 sierpnia 1976 roku.

Na czym polegała Pani praca?

Byłam kierownikiem biblioteki - chyba do 1983 roku, a potem byłam dyrektorem biblioteki do roku... teraz wam nie powiem, bo już nie pamiętam. Po urlopie wychowawczym w 1984 roku nie wróciłam na stanowisko dyrektora, tylko zostałam bibliotekarzem, a następnie skończyłam Studium Bibliotekarskie. Byłam starszym bibliotekarzem do roku 1991. Moim współpracownikiem do roku 1985 była pani Kazimiera Kórkorzycka, a od 1985 roku pracowała ze mną pani Elżbieta Kaczewska.

Proszę powiedzieć, co należało do Pani obowiązków.

Wszystko. Układanie książek na półkach, naprawianie książek, katalogowanie, wpisywanie do czterech rejestrów. Niektórzy myślą, że praca w bibliotece jest lekka. Niestety, ale nie...

A czy ta praca podobała się Pani?

Bardzo! Dlatego że jestem typowym mołem książkowym. Uwielbiam czytać. Miesięcznie czytam około 50 książek. Zawsze lubiłam czytać i lubię to do tej pory. To mi pozostanie...

Jakie jest Pani najmiłsze wspomnienie związane z pracą w bibliotece?

Takich wspomnień to można napisać książkę. W tamtych czasach pracowali ze mną wspaniali ludzie. Biblioteką była nie tam, gdzie obecnie, bo najpierw była w Urzędzie Miasta i Gminy. Następnie była w Domu Kultury, a tam pracowali wspaniali ludzie. Pracowało nas naprawdę dużo: były dyrektor Szkoły Podstawowej w Ręczu - pan Leśniak, który był również dyrektorem Domu Kultury, pani Ola Leśniak, która prowadziła kółko muzyczne, obecny burmistrz - pan Łoński, jego żona prowadziła kółko plastyczne. Pan Romanowski prowadził karate, pan Stasiu Wojda i pan Jan Fornal byli pracownikami kina, a pani Ela Wojda pracowała jako kasjerka. Pracowała też pani Irena Pocha; pan Rauchfleisch prowadził kółko fotograficzne, pani Aneta Kowal była członkinią kółka teatralnego, które ja prowadziłam. Ekipa była wspaniała. Organizowaliśmy bardzo dużo koncertów... W bibliotece były organizowane wieczorki literackie, wystawy plastyczne, wystawy rękodzieła artystycznego mieszkańców gminy. Pani Krystyna Zwolak, która pięknie maluje, wystawiała swoje prace malarskie. Takich ludzi już teraz nie ma. Pracowaliśmy w czynie społecznym, nie braliśmy za to żadnych pieniędzy.

Wygraliśmy konkursy wojewódzkie. Pojechalśmy kiedyś na konkurs literacki Jana Brzechwy i zajęliśmy wszystkie cztery pierwsze miejsca. Panie, które brały udział w tym konkursie są teraz nauczycielkami. Za sukcesy zorganizowałam wycieczkę do Kórnik, do zamku w Pezynie. Mieliśmy kółko bibliotekarskie - moje dziewczyny namówiły mnie na wycieczkę rowerową do Drawna. Pojechalśmy też do Jarocina, gdzie odbywały się słynne koncerty. Znam tę miejscowość, bo tam chodziłam do Studium Bibliotekarskiego. Musiałam się wtedy ubrać tak, jak się rockowcy ubierali - założyli mi flanelową koszulę w kratę, dżinsy, chustkę przewieszoną na ręce, czapkę z daszkiem i tak się udałam na tę wyprawę. Mieliśmy naprawdę zgraną ekipę. Zresztą, do tej pory utrzymujemy ze sobą kontakty. Często się spotykamy.

Proszę powiedzieć o swoich sukcesach zawodowych.

W naszym zawodzie nie ma sukcesów zawodowych. Wszyscy podejrzewają, że praca w bibliotece jest pracą lekką.

Nie! Praca jest ciężką, a tego raczej nikt nie docenia. Zdarzały się jakieś okolicznościowe nagrody, które otrzymywałam, np. z okazji Dnia Kobiet itp. Ale żebyśmy dostawali jakieś specjalne nagrody czy medale, to nie. Dostałam jednakże kiedyś dyplom, jako zasłużony działacz kultury, który przechowuję w moich archiwalnych dokumentach.

To proszę opowiedzieć o najciekawszych wydarzeniach, które zapamiętała Pani z pracy.

Tych wydarzeń naprawdę było bardzo dużo. Był koncert pana Antkowiaka, Krystyny Prońko, pana Bogdana Łazuki, pana Czyżewskiego. Koncertował też Jerzy Połomski; występowała tu elita naszych klasycznych muzyków. Organizowaliśmy to razem z Domem Kultury. Kiedyś bardzo dużo się działo na rzecz kultury. W tej chwili jest dużo gorzej.

Zimą organizowaliśmy kuligi, jeździliśmy na kurlany (jak się jedzie na Bytowo, to tam są takie stare kurlany, jeszcze sprzed wieków), chodziliśmy na Grądowe Zbocza, na pikniki nad jezioro. Jakby tak pamięcią sięgnąć, to kiedyś było wspaniale.

Jakie trudności napotykała Pani w związku ze swoją pracą?

Na pewno brak pieniędzy na zakup książek. Trzeba było zawsze szukać sponsorów. Chodziłam do fabryki. Pan Komada i pan Kaczeński – dyrektorzy fabryki, bardzo dużo nam pomagali. Kiedyś w Ręczu była gminna spółdzielnia. Chodziło się do prezesa, który też dużo sponsorował; to do PGR-u. Odwiecznym problemem był brak książek. Zresztą, ten problem dalej pozostał, tylko teraz trudniej o sponsorów.

A jeśli chodzi o inne trudności, oczywiście oprócz braku pieniędzy?

Problem zawsze był z oddawaniem książek. Ponadto trudny był dowóz książek. Bo oprócz naszej biblioteki były filie w Sokolińcu, w Pomieniu. Ponadto było około 20 punktów bibliotecznych. Brało się książki w torby i się z nimi jechało. Nieraz trzeba było iść piechotą, np. do Sicka z przystanku trzeba było dojść. A jest to niemały ciężar. Podobnie było z nowymi, zakupionymi książkami. Trzeba było je dowieźć, skatalogować. A katalogów też jest kilka: alfabetyczny, tematyczny... Pracy w bibliotece jest naprawdę dużo. Teraz w dobie komputerów jest lepiej, a kiedyś ich nie było i wszystko trzeba było robić ręcznie.

Proszę opowiedzieć o postaciach, które warto zapamiętać?

W Ręczu?

Tych, które związane były z pracą w bibliotece.

Warto pamiętać o panu Długoszu. Bardzo dobrze się z nim współpracowało. O pani Więsko – wieloletniej dyrektorze szkoły. O panu Ryszardzie Kławiściu – Naczelniku Gminy. Kiedy tylko się do niego nie poszło, to zawsze pomagał. To był człowiek, który nigdy niczego nie odmówił. O nich warto pamiętać.

Natomiast jeśli chodzi o weteranów... bo myśmy robili spotkania z weteranami, którzy przeżyli wojnę i którzy byli przy zdobywaniu Ręcza, to o nich warto również pamiętać. Młódzież teraz nie wie, ale były to osoby, które były KIMS. Na przykład mój teść był jednym z pierwszych burmistrzów Ręcza. Pan Pyranowski przeżył w Ręczu wojnę. Pan Siatecki – podobnie. To byli pierwsi osadnicy po wojnie, którzy w maju 1945 roku zasiedlali te tereny. Pani Siatecka jest rodowitą reczaną... tutaj się urodziła i tu mieszkała.

Warto też pamiętać i wspominać ludzi, którzy coś dla kultury i dla całego Ręcza zrobili. A takim człowiekiem był naprawdę Pan Długosz. On bardzo dużo zrobił dla Ręcza. Dlatego m.in. dostał Order Uśmiechu. To był człowiek nauki i kultury. Bardzo inteligentny człowiek. Był taki... ludzki, taki swój... u niego nie można było zauważyć, że on jest dyrektorem. On traktował każdego jednakowo. Nikogo nie wyróżniał: czy to rolnik, czy nauczyciel, czy sprzątaczką.

Jakie osoby, jakich współpracowników najlepiej Pani wspomina?

Wspominam moją – nieżyjącą już koleżankę – Kazię Kokończyką. To była bardzo fajna i sympatyczna kobieta. Z Domu Kultury dobrze pamiętam panią Krystynę Garus, która była księgową i prowadziła też finanse biblioteki. Panią Olę Lesniak! To była tak wesoła kobieta! Potrafiła każdego rozbawić. A jak prowadziła koncerty z dziećmi, to był szal! Pan Rauchfleisch, który robił bardzo dużo fotografii z działalności Domu Kultury i biblioteki. Robił zdjęcia np. z okazji 25-lecia

pożycia małżeńskiego, które organizowaliśmy w bibliotece.

Takich ludzi pamiętajcie!

Czego Pani najbardziej żałuje w związku ze swoją pracą w bibliotece?

Żałuję tego, że nastąpiła w pewnym momencie reorganizacja etatów. Niestety dużo ludzi związanych z kulturą odeszło wówczas z pracy.

A młodzież chętnie chodziła do bibliotek?

Bardzo chętnie! Może dlatego, że kiedyś się bardzo dużo pracowało z młodzieżą, właśnie w bibliotece. Mielśmy kółko bibliotekarskie. Dziewczęta do niego należące pomagały nam naprawiać książki. Robiliśmy wieczorki literackie przy świecach, organizowaliśmy konkursy, wyjeżdżaliśmy... Młodzieży było naprawdę dużo. Wystarczy spojrzeć w księgi, które są dowodem tego jak dużo ludzi korzystało z bibliotek... Nieporównywalnie więcej niż teraz. Teraz to mniej więcej 1/4 tego co kiedyś. Dziennie bywało nawet około 100 czytelników!

Dzieci i młodzieży było tak dużo, że jako bibliotekę organizowaliśmy nawet Dzień Dziecka. Nasi pracownicy mieli dzieci, w ogóle dzieci było wtedy więcej. Było bardzo przyjemnie.

Biblioteką pracowała wtedy na pełnych obrotach. Myśmy pracowali od 8.00 rano do 19.00 bez przerwy. Latem do 20.00.

Proszę jeszcze powiedzieć jakie są Pani oczekiwania związane z zawodem, który Pani wykonywała?

W tej chwili jestem już na emeryturze. Jakie są moje marzenia? ... Chciałabym, żeby ktoś docenił pracę w bibliotece, bibliotekarzy, którzy prowadzą naprawdę ciężką pracę. I żeby było więcej pieniędzy na książki. I żeby coś się zaczęło dziać! Zauważam, że młodzież nie ma w Reczu gdzie chodzić i co robić. Jest bardzo dużo utalentowanej młodzieży muzycznie, recytatorsko, teatralnie. Nie wierzę, że nie ma takich osób. Na pewno są. Tylko trzeba umieć takich młodych ludzi poprowadzić.



Grażyna Piguła

Wieloletnia dyrektor Biblioteki Miejskiej w Reczu
(pierwsza z lewej)



HELENA WIĘSKO

Gdzie Pani zaczęła swoją pracę, na czym polegała ta praca, co należało do Pani obowiązków?

Jako absolwentką liceum pedagogicznego zostałam zatrudniona w wiejskiej siedmioklasowej szkole w Sokolinie w gminie Ręcz. Był to 1 września 1962 r. Od tej daty, po części, wiąże się moja współpraca ze szkołą i nauczycielami w Ręczu. W mojej szkole zostałam wychowawcą pierwszej klasy. Były to dzieci z rocznika 1955. Prowadziłam lekcje z matematyki, fizyki i geografii z uczniami i osobami dorosłymi w szkole wieczorowej. Tygodniowy wymiar pracy nauczyciela wynosił 36 godzin. Lekcje trwały od poniedziałku do soboty włącznie.

Proszę opowiedzieć o tym, kiedy Pani przybyła do Ręczu. Jak daleko sięgają Pani wspomnienia związane z Ręczem?

W wiejskiej szkole pracowałam 4 lata. W Poznaniu przed komisją egzaminu kwalifikacyjnego dostałam pracę w Szkole Podstawowej w Ręczu. Był to 1 września 1966 roku. Ówczesny dyrektor – Pan Długosz – powierzył mi wychowawstwo w klasie piątej z rocznika 1955 r., matematykę i prowadzenie biblioteki szkolnej oraz prowadzenie młodzieżowej drużyny pożarniczej. Pracując zawodowo i społecznie dwie kadencje w radzie powiatu, trzy kadencje w radzie gminy, systematycznie podnosiłam swoje kwalifikacje. 1 września 1982 roku gminny dyrektor szkół – Pan Okonowicz – powołał mnie na stanowisko zastępcy dyrektora szkoły w Ręczu. 1 września 1985 roku zostałam dyrektorem Szkoły Podstawowej w Ręczu. Funkcję tę pełniłam przez 13 lat.

Jakie jest Pani najmilejsze wspomnienie związane z pracą w szkole. Jakie swoje sukcesy zawodowe mogłaby Pani wymienić?

Pracę którą się wykonuje należy kochać. Jeśli tak jest, to najmniejszy sukces zespołu, którym się kieruje, sprawia satysfakcję. W moim przypadku było tak:

- sukcesy wychowanków na olimpiadach z przedmiotów, sukcesy sportowe, wysokie średnie, wysoki procent uczniów kończących szkołę, 100 procent absolwentów podejmujących naukę w szkołach ponadpodstawowych,
- dobra współpraca z kadrą pedagogiczną, pracownikami niepedagogicznymi, władzami miasta,
- bardzo dobra współpraca z zakładem opiekuńczym szkoły – Remorem w Ręczu, z jego kierownictwem – panem Komadą i Panem Piwowarem.

Na podkreślenie zasługuje fakt, że szkoła tętniła życiem od rana do wieczora. W szkole prowadzono 12 kół przedmiotowych, 4 zajęcia sportowe, 7 drużyn zachowowych i specjalistycznych harcerskich.

Z osiągnięć gospodarczych na uwagę zasługuje modernizacja sieci wodociągowej, zmiana systemu ogrzewania z węglowego na gazowe, urządzenie, wyposażenie i adaptacja kotłowni gazowej, systematyczne podnoszenie estetyki izb lekcyjnych systemem gospodarczym. Pozyskiwanie środków finansowych z funduszu osób niepełnosprawnych, zakup wyposażenia stanowiska księgowo-finansowego, stanowiska konserwatora urządzeń technicznych szkoły.

Jakie wydarzenia najbardziej Pani zapamiętała ze swojej pracy?

Dużym wydarzeniem w dziejach szkoły było wmurowanie kamienia węgielnego pod budowę nowej szkoły. Był to październik 1986 r. Udział w tym wydarzeniu brali: Naczelnik, Inspektor Oświaty, Dyrektor zakładu opiekuńczego, Dyrektor szkoły, przedstawiciele uczniów. Po zmurowaniu 11 latami budowy tej szkoły oddano ją do użytku. 31 sierpnia 1997 r. 1 września 1997 roku odbyła się wojewódzka inauguracja nowego roku szkolnego z jednoczesnym, oficjalnym przejęciem oddanego obiektu szkolnego. Udział brali: Kurator Oświaty w Gorzowie, przedstawiciel Ministerstwa Oświaty, Biskup, władze gminy z Burmistrzem na czele, przedstawiciel zakładu opiekuńczego, rodzice, uczniowie, nauczyciele i pozostali pracownicy szkoły.

Kolejnym miłym wydarzeniem w mojej pracy zawodowej był przypadek, kiedy to 21-letni młody człowiek, na własną prośbę, był uczniem gimnazjum i ukończył je z powodzeniem.

Jakie trudności napotkała Pani w związku ze swoją pracą? Jakże były wtedy największe problemy?

Praca dydaktyczno-wychowawcza przebiegała spokojnie dzięki zgranej kadrze pedagogicznej. Byli to ludzie dobrze przygotowani, merytorycznie odpowiedzialni i zaangażowani w pracę szkoły. Do września 1997 r. największym problemem była mała liczba izb lekcyjnych w budynkach szkoły - 18 na 30 oddziałów. Zatem lekcje musiały odbywać się poza budynkiem szkoły. Zły stan instalacji wodociągowej, wymagający pilnej modernizacji. Bardzo nietypowy sposób ogrzewania obiektu, wymagający ciągłego nadzoru, uciążliwej i często niebezpiecznej pracy. W sezonie zużycie sięgało 100 ton mialu. Ciągły, skromny fundusz finansowy szkoły.

O kim według Pani warto pamiętać? Jakże osoby, współpracowników czy uczniów najlepiej Pani wspomina? Kto odgrywał znaczącą rolę w społeczności szkolnej?

Należy pamiętać o wszystkich emerytach, byłych pracownikach szkoły, tj. nauczycielach, pracownikach administracyjno - obsługowych, ludziach zaangażowanych w pracę szkoły. Szczególnie przewodniczących Rady Rodziców, którzy często byli pomocni w rozwiązywaniu problemów natury gospodarczej. Na szczególną pamięć zasługują – Pan Cichorzewski oraz Pan Szebel. Znaczącą rolę w społeczności szkolnej za moich czasów odgrywał samorząd szkolny, który jest jednym z organów szkoły poza dyrektorem, radą pedagogiczną i radą szkoły. Obejmuje całą społeczność uczniowską danej szkoły. Prawo nakazuje władzom szkoły zasięgania opinii w sprawach: skreślenia ucznia z listy uczniów, programu wychowawczego szkoły, średniej ocen uprawniającej ucznia do otrzymania stypendium za wyniki w nauce, prawa do jawnej i motywowanej oceny w nauce i zachowaniu, prawa do organizowania działalności kulturalnej, sportowej w porozumieniu z dyrektorem szkoły, prawa wyboru nauczyciela pełniącego rolę opiekuna samorządu.

Czego Pani najbardziej żałuje w związku ze swoją pracą w szkole?

Pracowałam w jednym zawodzie przez 45 lat. Całe moje życie zawodowe było pracą z dziećmi, młodzieżą szkolną. Czas płynie nieubłagalnie. Przeżyte lata robią swoje. Szkoda, że mijają tak prędko. Trzeba było powiedzieć – dość!

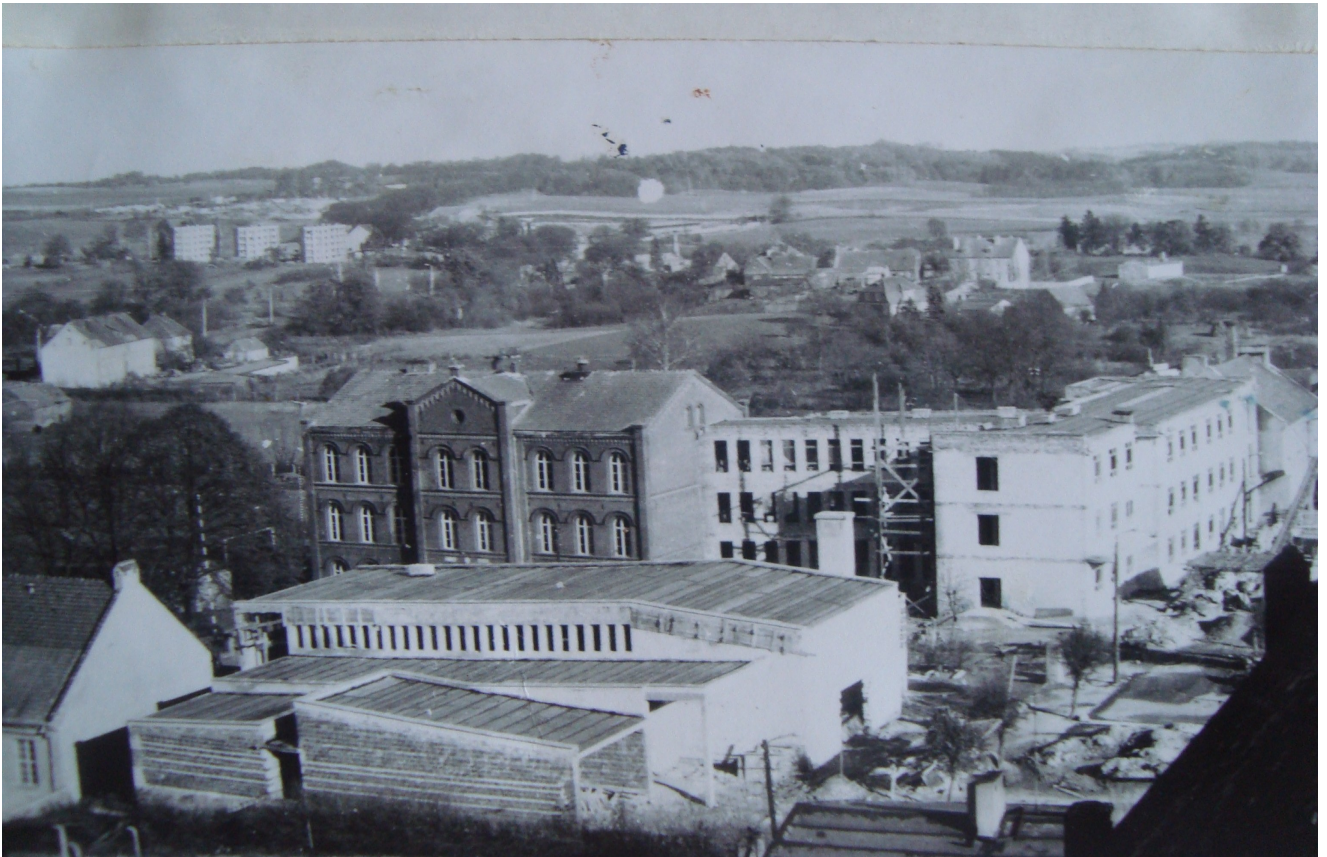
A jakże są dzisiaj Pani marzenia lub oczekiwania związane z zawodem, który Pani wykonywała?

Moim marzeniem jest, żeby zaprzestano eksperymentować na szkole. To znaczy na dzieciach i młodzieży, wprowadzając co kilkanaście lat reformę oświaty. Takie działania wprowadzają chaos, burzą wypracowane wzorce, podstawy programowe, niepokój nauczycieli. Podpisana nowa podstawa programowa w zreformowanej szkole budzi wiele emocji. Od września wiele się zmieni. Wróci ośmioklasowa szkoła podstawowa, wygaszane będą gimnazja, a dzieci uczyć się będą według nowego programu. Podstawy programowe są – wg pani Minister – nowoczesne, choć szanujące przeszłość i historię. Oby tylko na wprowadzeniu tej reformy nie stracili uczniowie i nauczyciele.



Helena Wiesko

Wieloletnia Dyrektor Szkoły Podstawowej im. Stefana Czarnieckiego w Ręczu



WIEŚLAW ŁOŃSKI

W Domu Kultury organizowaliśmy kiedyś - wspólnie ze szkołą - Jasełka. Na scenie wystąpiło ponad osiemdziesiąt osób. Teksty pisał pan Bujakowski, muzyką zajmowała się pani Ola Leśniak, a całą stroną graficzną, dekoracją, scenografią, strojami - moja żona. Pracowaliśmy zespołowo i się nawzajem uzupełnialiśmy. Wkładaliśmy w to dużo serca. Zresztą ... jak wszyscy pracownicy Domu Kultury. Każdy się angażował, robił to z chęci, a nie dla pieniędzy. To były takie czasy, że można było znaleźć dużo społeczników, którzy chcieli się pobawić i coś zrobić.

To słowa Pana Wiesława Łońskiego – byłego Dyrektora Domu Kultury, a obecnie Burmistrza Ręcza.

Z okazji uroczystości 72. ROCZNICY POLSKOŚCI NA ZIEMIACH ZACHODNICH, która odbyła się w Ręczu 25 marca 2017 r., redakcja GIMpressu przeprowadziła cykl wywiadów z mieszkańcami Ręcza i gminy Ręcz, którzy angażowali się w działalność kulturową i oświatową.

O historii Ręcza, rozwoju życia kulturalnego i placówek kulturalnych w gminie Ręcz rozmawiamy z Panem Wiesławem Łońskim – wieloletnim pracownikiem i dyrektorem Domu Kultury.

Proszę opowiedzieć o tym, kiedy Pan przybył do Ręcza?

Jestem mieszkańcem Ręcza od urodzenia. Tu przez wiele lat pracowali, żyli moi rodzice, którym bardzo dużo zawdzięczam. No i z Ręczem jestem w ten szczególny sposób związany.

Marzył pan kiedykolwiek o zostaniu Burmistrzem?

Nie. Nie marzyłem. Nigdy nie traktowałem tego w kategoriach marzeń. Myślę, że to życie napisało taką scenariusz. Chociaż nie ukrywam, że mój ojciec przez ponad dwadzieścia lat był przewodniczącym Gromadzkiej Rady Narodowej. Kiedyś istniała Miejska Rada Narodowa, czyli organ, który zarządzał całym miastem oraz Gromadzką Radą Narodową, czyli instytucja zarządzająca wszystkimi sołectwami. Może coś w genach przejąłem.

Chociaż nigdy, tak jak powiedziałem na początku, nie traktowałem tego w sferze marzeń: "Ja muszę być burmistrzem, bo...". Nie! Tak się po prostu stało.

Wiele lat życia poświęciłem jednak dla tej gminy. Zawsze, jak coś robiłem, starałem się robić najlepiej jak potrafię. Chociaż nie zawsze się to udaje, bo nie ma ludzi idealnych. Przygodę z działalnością samorządową zaczynałem już w szkole podstawowej, gdzie przez wiele lat byłem gospodarzem klasy, a w klasie ósmej Przewodniczącym Samorządu Uczniowskiego. Moim wzorem zawsze był ówczesny dyrektor szkoły, a teraz patron Gimnazjum, Pan Adolf Długosz. To pan Długosz uczył mnie pierwszych kroków, jeżeli chodzi o pracę w samorządzie.

Czy było wtedy Panu ciężko?

Nie. Jakoś to tak wszystko prosto się układało. Oczywiście pod okiem wspaniałych nauczycieli, których miałem szczęście spotkać w swoim życiu i bardzo dobrze ich wszystkich – bez wyjątku – wspominam. Od każdego nauczyłem się czegoś, co teraz w życiu realizuję. Pan Długosz na przykład nigdy mi niczego nie nakazywał, tylko wspierał mnie w moich pomysłach. Naprawdę był to wspaniały nauczyciel, wspaniały pedagog i - nie wiem, czy mogę sobie na to pozwolić, bo to jest trochę nieuprawnione z mojej strony - życiowy przyjaciel.

Ciężką natomiast była dla mnie sytuacja, kiedy musiałem wygłosić mowę pożegnalną na pogrzebie mojej koleżanki, która zginęła w tragicznych okolicznościach. Była wiceprzewodniczącą samorządu uczniowskiego. Ja jako przewodniczący samorządu musiałem i chciałem tę mowę wygłosić i tego nie zapomnę do końca życia. To zostaje...

Oczywiście tekst pomógł mi napisać pan Długosz. To zrobiliśmy wspólnie. I tych pierwszych słów nie zapomnę chyba do końca życia.

Później - przez kilkanaście lat - z samorządem nie miałem wiele wspólnego. Do czasu wyboru mnie na Radnego Powiatu Choszczno. To było w 2002 roku. Byłem przewodniczącym Komisji Budżetowej oraz członkiem Komisji Rewizyjnej. Więc wrócił tu ten bakcył do pracy na rzecz społeczności lokalnej.

Jak daleko sięgają Pana wspomnienia związane z Ręczem?

Nie potrafię podać dokładnej daty, ale na pewno od najmłodszych lat. Od kiedy młody człowiek świadomie wkracza w życie, to tych wspomnień jest wiele. Nie potrafię też ułożyć w kolejności, jakie wydarzenia miały miejsce, ale dużo mam wspomnień z dzieciństwa. Naprawdę fajnych. Z resztą ... synom często opowiadam o tych moich wspomnieniach. Opowiadam, jak my się bawiliśmy. Że biegaliśmy z kijem przy obręczy rowerowej. To był szczyt umiejętności, jeżeli to koło się nie przewracało. Potrafiliśmy siedzieć na gałęzi, na wiśniach niedaleko stadionu i tak sobie czas spędzać.

Komputerów wtedy nie było. Telewizorów też nie. Dlatego też zabawy były inne. Opowiadam swoim dzieciom, jak sobie zrobiłem kabinę do roweru z worków po nawozie, z patyków z dzikiego bzu. Wyjechałem na jazdę próbną, tylko zapomniałem, że wycieraczek nie mam, a deszcz padał. To są naprawdę miłe wspomnienia.

Wiele wydarzeń pamiętam z okresu nauki w szkole podstawowej. Wiele rzeczy nauczył mnie pan Packań, co dziś w życiu wykorzystuję, naprawiając na przykład coś w domu. A lubię majsterkować. Wiem, jak należy gwoździe wbijać i to jest lekcja, którą wyniosłem ze szkoły podstawowej. Zawsze, jak brałem młotek do ręki, przypominałem sobie, co mówił pan Packań. Jak należy gwoździe trzymać, jak należy posługiwać się młotkiem. I to jest nauka, której nikt mi nie odbierze, i którą sobie bardzo cenię. Tak samo cenię ludzi, którzy mnie jej nauczyli.

W szkole pełniłem różne funkcje. Udzielałem się na przykład w harcerstwie. Byłem członkiem Młodzieżowej Służby Ruchu, tzw. MSR-u. Prowadziła nas Pani Irena Cylwik, która była bardzo zaangażowana w pracę harcerstwa. Do dziś uważam, że harcerstwo to dobra szkoła życia. Kiedyś zdobyliśmy pierwsze miejsce w konkursie na organizację akcji letniej. W okresie wakacji często organizowaliśmy obozowiska z namiotami, kuchnią, zabawami i grami. Pomagała nam również Pani Helena Wiśko. Wygrywając ten konkurs, zajęliśmy pierwsze miejsce w województwie szczecińskim. W nagrodę pojechalismy do Warszawy.

Organizowaliśmy różne wycieczki, spotkania w radio, w telewizji, w różnych redakcjach gazet. Te wspomnienia zostaną na zawsze. To właśnie harcerstwo nas stymulowało do tego działania.

Gdzie Pan zaczął swoją pracę?

Po ukończeniu Technikum Mechanicznego w Stargardzie, rozpocząłem swoją pierwszą pracę zawodową w Fabryce Sprzętu Okrętowego. Byłem na stanowisku kreslarza. Od razu trafiłem do biura konstrukcyjnego. To trwało trzy miesiące, po których zostałem młodszym konstruktorem. A na koniec zostałem samodzielny konstruktorem.

Projektowałem najpierw podstawowe wyroby, które były produkowane w REMORZIE: zamki drzwiowe, zawiasy, różne okucia, kabiny, włazy okrętowe, cały asortyment, jaki był produkowany na statki. A później zostałem projektantem oprzyrządowania.

Bardzo lubiłem tą pracę. Zawsze miałem umiejętność precyzyjnego rysowania, kreślenia, ale w tej pracy ważna była również cierpliwość.

To była taka praca, która wymagała technicznego myślenia, pracy koncepcyjnej. Miło wspominałem również moich kolegów z pracy, z którymi świetnie mi się współpracowało.

Jak rozpocząłem pracę w REMORZIE, to jeszcze wcześniej, będąc uczniem szkoły średniej, rozpocząłem pracę w Domu Kultury. Dom Kultury został oddany do użytku w październiku, bodajże 1978 roku. A ja dwa miesiące po jego otwarciu zacząłem się udzielać jako młody chłopak.

Różne rzeczy robiłem. Zaczynałem od organizacji dyskotek. Byłem spikercem na różnego rodzaju uroczystościach, np. pochodach majowych.

Pamiętam jeden taki szczególny pochód pierwszomajowy, kiedy był wybuch w Czarnobylu. Cały pochód odbywał się ulicą Śródkową. Na rynku była trybuna. Pamiętam, że siedziałem obok obecnego pomnika. Wzmacniacz, magnetofony, mikrofon.

Dostarczono mi informację, żebym przekazywał mieszkańcom komunikaty o katastrofie, żeby rodzice z dziećmi szli do ośrodka, gdzie dzieci musiały wypić jod.

Z Domem Kultury zawsze byłem silnie związany. Oczywiście z początku robiło się wszystko bez pieniędzy. Dyskotekę... każdy młody chłopak marzył o tym, żeby prowadzić taką dyskotekę. Sprzętu wtedy nie było. Ważne, żeby była muzyka. Długo z tym miałem do czynienia. W pewnym momencie zorganizowałem, nazwijmy to grupę, sekcję. Zaczęliśmy w czterech te dyskoteki organizować. Muszę powiedzieć, że jeden z tych chłopaków, dzisiaj pan, zajmuje się tym prawie zawodowo. Nie będę wymieniał nazwisk, bo może sobie nie życzy, ale dalej się tym interesuje.

W Domu Kultury prowadziłem również klub muzyczny. W tym klubie właśnie poznałem moją żonę, która pracowała tam jako instruktor plastyki. Wymyśliśmy, że jeżeli to ma być klub, gdzie młodzież mogłaby się spotykać i słuchać muzyki, to trzeba było wymalować i przygotować odpowiednie pomieszczenie. I malowaliśmy... to na jednej ścianie były jakieś przestrzenne figury, na drugiej jakieś koła przenikające, a na trzecią - szczytową, po prostu z drabiny rzucaliśmy farbą o ścianę. No i tak powstał ten klub.

Później byłem jeszcze akustykiem w Domu Kultury. Akustyk to osoba, która jest odpowiedzialna za dźwięk. Do dzisiaj wiem, na czym polega ta praca. Oczywiście sprzęt się tak zmienił, że na pewno miałbym problemy, żeby to obsłużyć. Kiedyś zaczynaliśmy od tak zwanych eltronów. To były wzmacniacze i kolumny. Toporne, ale niezawodne. Można było przewrócić, zalać wodą i działało nadal. Nagłasniałem m.in. koncert Jerzego Filara, koncert Marcina Dańca. Podobała mi się ta praca.

Z ówczesnym dyrektorem Domu Kultury Mariuszem Walakiem organizowaliśmy klub komputerowy. Naszą sekcję mikrokomputerową nazwaliśmy "Fenix". Zajęliśmy nawet trzecie miejsce w ogólnopolskim konkursie o Dyskietkę Bajtka. Bajtek to było także czasopismo komputerowe. W nagrodę dostaliśmy komputer.

Pamiętam, że z panem Mariuszem Walakiem samochodem wypożyczonym z PGR-u z Pomienia jechaliśmy w Polskę, żeby kupić pierwszy komputer. Te pierwsze gry, odtwarzane z kaset to były gry typu Pac Man. Wtedy to był szaf.

Z tymi komputerami i zakupionym magnetowidem jeździliśmy często po różnych ośrodkach wypoczynkowych. Stanowiliśmy tam, jako Fenix, jedną z ciekawszych atrakcji.

Muszę powiedzieć, że Pan Walak – matematyk z wykształcenia - był później dziekanem Wyższej Szkoły Informatycznej w Gorzowie. Był na stypendium w Stanach Zjednoczonych i jak do nas przyjechał, to od razu chciał zrobić coś w kierunku tych komputerów. I to się udało. W dużym stopniu to głównie jego zasługa.

Przez 16 lat byłem dyrektorem Domu Kultury. Namówił mnie do udziału w konkursie na dyrektora i mocno mnie wspierał pan Alek Dąbrowski - ówczesny przewodniczący Rady Miejskiej. Ponieważ udzielałem się w kulturze i znałem ją od podszewki, więc przystąpiłem do tego konkursu.

Z pracą jako dyrektora Domu Kultury wiąże się wiele wspomnień, bo praca na rzecz upowszechniania kultury w moim życiu miała wyjątkowe miejsce. Mam ogromny sentyment do tego okresu. Dużo się naprawdę działo. Szczególnie dobrze pamiętam imprezy organizowane lub współorganizowane ze szkołą. Ta współpraca była znakomita – podobnie jak dziś. Uczestnikami tych zajęć w Domu Kultury byli przede wszystkim uczniowie, a instruktorami - nauczyciele. To było jak gdyby przedłużenie ramienia szkoły. Fajnie się uzupełnialiśmy. I dzięki temu mieliśmy się czym pochwalić. Było o nas dużo artykułów w prasie.

Dziś ubolewam nad tym, że gminy nie stać na takie wsparcie finansowe, żeby szkoła mogła realizować zajęcia pozalekcyjne. Bo ja pamiętam, że jak wracałem ze szkoły do domu, to było już późne popołudnie. Zawsze się coś działo po lekcjach. To SKS, to kółko przyrodnicze. To były fajne czasy. Jakś tak wszyscy chcieli się spotykać, chcieli fajnie spędzić czas i uczyć się przy tym.

Jakie jest Pana najmiłsze wspomnienie z tego okresu, gdy pełnił Pan funkcję dyrektora Domu Kultury?

Za największy sukces organizacyjny uważam, bo wydawało się to niemożliwe, stworzenie Młodzieżowej Orkiestry Dętej. Zostałem poproszony przez ówczesnego burmistrza, pana Czesława Mojeckiego, o wsparcie uroczystości otwarcia gimnazjum. Miałem za zadanie zorganizować orkiestrę dętą. Szukałem długo i trafiłem do Dębna Lubuskiego. Tam była

młodzieżowa orkiestra dęta, która przyjechała i uświetniła tę uroczystość swoim występem. Kapelmistrzem po szkole oficerskiej był tam Pan Edward Niwoszewski. Pasionat. Kochał orkiestry dęte i zaczęliśmy rozmawiać po tych uroczystościach o możliwościach stworzenia orkiestry dętej w Ręczu. Wiedziałem, że są jakieś instrumenty w remizie strażackiej. No i od słowa do słowa umówiliśmy się na kolejne spotkanie. Zobaczyliśmy, jak te instrumenty wyglądały, złapał się za głowy, bo to był złom. Zaczęliśmy pożyczać ze szkoły muzycznej w Choszcznie jakieś pojedyncze instrumenty. I udało się stworzyć taką pierwszą grupę instrumentów, na której pan kapelmistrz mógł uczyć. Było bardzo dużo chętnych do grania w tej orkiestrze, m.in. Pan Krzysztof Hofub i jego uczniowie.

W organizowaniu tej grupy pomógł mi dużo Pan Czesław Nykiel. Było jeszcze wiele innych osób. Pamiętam ten pierwszy apel, który zrobiliśmy na sali gimnastycznej, na którym kapelmistrz przedstawiał swoją wizję funkcjonowania orkiestry. Powiem szczerze, że niektórzy dorośli pułkali się w czoło: "W takim Choszcznie nie ma orkiestry dętej, a w Ręczu będzie?". Orkiestra funkcjonowała i po 14 miesiącach zajęła czwarte miejsce na wojewódzkim przeglądzie orkiestr dętych w Łobzie, rywalizując m.in. z Orkiestrą Marynarką Wojennej w Świnoujściu. To było bardzo duże osiągnięcie.

Ta orkiestra to była sensacja! Pamiętam wiele wyjazdów. Gdzieś na biwak do Cybowa czy nad morze. Załatwiłem kiedyś, że w kolejce turystycznej, którą jechaliśmy od Trzęsacza do Pogorzelic, siedziała i grała nasza orkiestra. To było wydarzenie dla wszystkich turystów przebywających wówczas nad morzem. Graliśmy też na statkach. W Świnoujściu mieliśmy rejs i zaproszenie na uroczystość. Okazało się, że statek nie wypłyne, więc zostaliśmy zaproszeni przez kapitana niemieckiego wycieczkowca, na którym zagraliśmy koncert. Graliśmy też na różnych imprezach. Nawet w Międzyzdrojach graliśmy między świętami a Sylwestrem. Do dzisiaj spotykam się z tymi ludźmi, którzy grali w orkiestrze. I wiem, że dla nich jest to wspomnienie życia.

W Domu Kultury organizowany był również turniej brydża sportowego. Wtedy było jeszcze niewiele osób. A teraz, cyklicznie, na początku maja, pojawia się już ponad 120 osób grających, którzy przyjeżdżają z całej Polski. I trwa to nieprzerwanie przez 19 lat. Dziś ten turniej zaczyna mieć już rangę ogólnopolską.

Obecnie jest trochę inaczej niż kiedyś. Teraz trudno byłoby znaleźć chętnych chłopców, na przykład do koła tanecznego. A kiedyś naprawdę nie było z tym problemu. Kiedyś były też inne pieniądze.

Dzisiaj współpracujemy z wojskiem kanadyjskim. A kiedyś współpracowaliśmy z wojskiem radzieckim.

Jakie osiągnął Pan sukcesy?

Tak jak powiedziałem. Orkiestra dęta jest dla mnie taką chlubą. Bo wiem, ile to zachodu kosztowało i przy jakich pieniądzach stworzyliśmy tę orkiestrę, która funkcjonowała przez osiem lat. Ale potem brak środków na zakup instrumentów, bo one są bardzo drogie, spowodował to, że członkowie orkiestry się wykruszały. Stworzenie i funkcjonowanie orkiestry było i jest nadal dla mnie największym, osobistym sukcesem.

Muszę także wspomnieć, że przy Domu Kultury istniał zespół tańca ludowego. Był to zespół w Szkole Podstawowej w Lubieniowie, a my ich wspieraliśmy.

Wszystko, co robiłem w Domu Kultury, co dzisiaj tak miłe wspominam, uważam za swój sukces. Ale to nie była tylko moja praca. To była praca zespołu ludzi. Ja tylko musiałem stworzyć warunki i tych ludzi zachęcić do pracy i to mi się udało.

To mogę uznać za swój drugi sukces, że udało mi się zgromadzić wokół siebie cudownych ludzi z pomysłami, które potrafią zrealizować i dobrze się przy tym bawić. To jest najważniejsze.

Były też porażki, które okazywały się nimi wiele lat później. Pamiętam pewien konkurs. Kiedyś byłem w komisji na przeglądzie Amatorskiego Ruchu Artystycznego w Inisku. Ówczesny dyrektor w Inisku poprosił mnie o zorganizowanie komisji. I to miał być plastyk, muzyk, no i ja, jako taki wolny elektron. No to plastyk - moja żona, muzyk - Ola Leśniak. Pojechaliśmy. Oczywiście ocenialiśmy wszystkie występy i od nas zależało, czy dana osoba przejdzie dalej. No i jedną taką dziewczynkę odrzuciliśmy. Nie zakwalifikowała się. A była to Małgosia Jamroży, która dziś znana jest jako Margaret.

Wracając do orkiestry, to telewizja polska zrobiła o niej półgodzinny program na kasetach video.

Nawiązałem też kontakt z chórem niemieckim, którego dyrygentem był profesor, syn pastora, który był tutaj kiedyś

w Ręczu w czasie wojny. Nawiązałem z nimi kontakt i przez dziesięć lat, co roku przyjeżdżali do Ręcza na koncert kościelny. Kiedyś zrobiliśmy koncert z udziałem tego chóru i orkiestry kameralnej z Koszalina.

Tego nikt nie wie i nikt o tym nie pisze, ale ja się tym pochwalę. Dużą mam satysfakcję z tego, że przy moim udziale mamy w Ręczu organy. Te nowe w kościele. Bo to mnie ten profesor poprosił, bym przekonał proboszcza, żeby zechciał przyjąć dar. Niemcy zrobili skłódkę, wśród byłych mieszkańców Ręcza, i kupili te organy. Ja miałem zająć się całą organizacją przywiezienia ich do Ręcza. Zawsze, jak jestem w kościele i patrzę na te organy, to czuję zadowolenie, bo wiem, jakimi miałem w tym udział.

Jakie były największe problemy w działalności Domu Kultury?

Nigdy w kategoriach problemów niczego nie postrzegałem. W Domu Kultury za moich czasów powstawał zespół "Olślabki". Były organizowane wystawy bonsai. Stworzyłem pierwszą siłownię w Ręczu. Stworzyłem też galerię "Pasja". Myślę, że gdy pracowałem w Domu Kultury, wiele się działo.

O kłm, według Pana, warto pamiętać? Kogo ze współpracowników najmilej Pan wspomina?

Nie chciałbym tego ustawiać w jakiejś kolejności, ale warto podkreślić zaangażowanie pana Wojdy. Jest to wyjątkowy człowiek. Odznaczył się w historii naszego lokalnego kina, które funkcjonowało w Domu Kultury. Mielśmy to kino jako jedna z niewielu gmin. Do nas przyjeżdżali uczniowie szkół w Dobrzanach, z Suchania, z Iniska. Organizowaliśmy seanse zbiorowe. I bardzo dobrze to funkcjonowało. Kino mieściło niespełna dwieście miejsc. Nieraz to pięć autokarów stało na rynku z Drawna, Suchania, Dobzran, Iniska i Kalisza. I trochę na tym zarabialiśmy.

Pan Wojda to wyjątkowo zasłużony człowiek. Jeździł z projekтором po wioskach i przybliżał działalność filmową DK. Był też założycielem kapeli podwórkowej. Sam uczył się grać.

On to sam wszystko robił i poświęcił życie dla tego środowiska. Należy mu się wielki szacunek. Jemu, jego żonie, Pani Eli Wojda, która też pracowała wiele lat w kinie, Pani Irenie Pocha, która też tutaj tworzyła kino. Pan Jan Fornal... To byli ludzie, którzy byli pasjonatami kina.

Pierwszą dyrektorką Domu Kultury była Pani Pakowska, potem był Pan Leśniak. Po nim był Pan Mariusz Walak, po Panu Walaku był Pan Zbigniew Ligus. I jak Pan Ligus przeszedł do Domu Kultury w Barlinku, to ja zająłem jego miejsce. Byłem dyrektorem przez 16 lat. Nie wiem, czy nie byłem najdłużej urzędującym dyrektorem Domu Kultury w Ręczu.

Czy żałuje Pan czegoś związanego z pracą na rzecz Domu Kultury?

Nie. Niczego. Nie wiem, czego mógłbym żałować. Nie żałuję ani jednej chwili w Domu Kultury. Znalazłem tam nie tylko miejsce pracy, ale też i swoje miejsce, gdzie mogłem się realizować. Dzisiaj też jest mi łatwiej przemawiać dzięki temu, że zawsze miałem tam styczność z mikrofonem. Stres jest, ale jest znacznie łatwiej. Bo jako dyrektor zawsze musiałem gdzieś tam przemówić.

Nie jestem też szefem, który ma gonić, tylko kładę nacisk na partnerskie stosunki. Tak jak w Domu Kultury. Nie bałem się pomóc swoim pracownikom.



Wiesław Łoński

Wieloletni dyrektor Domu Kultury w Ręczu. Obecnie Burmistrz Ręcza



Mikrohistorie w kulturze i edukacji lokalnej na przykładzie doświadczeń zebranych w Ręczu w latach 1989-2007

Wprowadzenie

Kiedy w 1989 r. wraz z mężem i dwójką synów, rocznym wówczas Michałem i czteroletnim Sławkiem, przeprowadziłyśmy się do Ręcza z Górnego Śląska, aby nasze dzieci mogły w dosłownym tego słowa znaczeniu oddychać świeżym powietrzem, nie miałam w sobie takiej dojrzałości społecznej, jakiej dopiero w Ręczu zaczęłam się uczyć. Potrzebny był czas, spotkania z wieloma ludźmi, wsłuchiwanie się w ich osobiste historie, przytaczane przez nich argumenty, bycie świadkiem prezentowanych stanowisk, często zupełnie sobie przeciwstawnych. Mieszały się w tych rozmowach ludzkie doświadczenia z wydarzeniami historycznymi, z biografią miejsc – tych opuszczonych w 1945 r. na wschodzie Polski i tych oswajanych na Pomorzu Zachodnim. A potem miałam to szczęście, że w latach 2000-2004 udało mi się zaprosić do wspólnego projektu badawczego nauczycieli z Ręcza, którzy pamiętali to miejsce od początku tworzenia się tu nowej, powojennej rzeczywistości. W ten sposób powstały „dwie warstwy” źródeł w myśleniu o doświadczeniach ludzi gminy Ręcz, którzy z kolei nadawali charakter rozwojowi lokalnemu. Warstwa trzecia to kontakty pomiędzy obecnymi i przedwojennymi mieszkańcami Ręcza, którzy wspólnie postanowili zaznaczyć przedwojenną historię miasta, stawiając w 2005 r. płytę pamiątkową w tej części cmentarza, gdzie chowane były niemieckie rodziny przed 1945 r. Jest jeszcze warstwa czwarta, która jak „duch przeszłości” ujawniła się spontanicznie.

„Duchy przeszłości” i ich siła w myśleniu o biografii miasta

Nie potrafię oprzeć się myśli, że Adam Asnyk pisząc „Przeszłość nie wraca, jak żywe zjawisko, w dawnej postaci jednak nie umiera, odmienia tylko miejsce, czas, nazwisko i świeże kształty dla siebie przybiera...” najtrafniej zilustrował moje doświadczenie spotkania w Ręczu dwóch osób.

Jedną z nich był Karl E. Steindam, Amerykanin niemieckiego pochodzenia, którego dziadkowie urodzili się w okolicach Ręcza, a w XIX w. wyemigrowali do Stanów Zjednoczonych „za chlebem”. Kiedy spotkałam go po raz pierwszy, miał już ponad siedemdziesiąt lat.

Drugą z nich był Fred Mozes, Żyd, dziś obywatel Australii, którego ojciec i jego ośmioro rodzeństwa urodziło się w Ręczu, a najstarszy z przodków tej rodziny, Geraunim Moses, został pochowany na cmentarzu żydowskim w Ręczu w 1705r. Oba spotkania, choć dzieliło dziesięć lat, wyglądały bardzo podobnie.

Karl Steindam odwiedził Szkołę Podstawową w Ręczu w 1992 r. w poszukiwaniu kogoś, kto posługuje się językiem angielskim. Potrzebował pomocy w komunikowaniu się z księdzem i przeszukaniu ksiąg metrykalnych. Dyrektor szkoły, Pan Andrzej Horoszkiewicz, skierował go do mnie. Ta znajomość trwała do 2008 r., kiedy Carl zmarł. Przez wszystkie te lata, nie tylko utrzymywałyśmy kontakt, ale Karl Steindam rok rocznie przysyłał na adres Gminnego Ośrodka Pomocy Społecznej odzież dla potrzebujących mieszkańców Gminy Ręcz.

W 2002 r., historia się powtórzyła. Fred Mozes, który po bardzo wielu latach nieobecności w Ręczu, zapukał do drzwi mojego gabinetu w Gimnazjum, wzruszonym głosem przedstawił się i opowiedział historię swojej żydowskiej rodziny. Szukał kogoś, kto towarzyszyć mu będzie w jego sentymentalnej wędrówce po mieście i poznawaniu dzisiejszego Ręcza. Cała jego rodzina była deportowana z Ręcza przez nazistów w 1943 r. i zginęła w Holocauście.

Listy, myśli, wspomnienia w obrazkach

Pierwsze listy od Freda Mosesa, w 2002 r. już elektroniczne, gęste były od refleksji i wspomnień. Były w nich obrazki wyfuskowane z pamięci Freda – dziećka, które wymieszane są z jego dojrzałą perspektywą człowieka o biografii, która jest jednocześnie znakiem czasów, w jakich przyszło mu żyć. Na szczęście żyć, a nie jak wielu jego najbliższym, odejść przedwcześnie.

Z listów Freda Mosesa z lat 2002-2017 (zasoby własne):

Jednym z moich najmocniejszych doświadczeń w tej podróży [2002, Ręcz, RL], była wizyta w Ręczu. Po prawie siedemdziesięciu latach!!! W Ręczu urodził się nie tylko mój ojciec Luis, ale również ośmioro jego rodzeństwa. Co więcej, Ręcz przez trzy stulecia był miejscem urodzenia dla mojej rodziny Moses. Dowody na to znajdują się na żydowskim cmentarzu, w Ręczu, dziś pozostała tylko nazwa „Judenberg”, gdzie ojciec mój [lata 1934-38 RL] odtwarzał drzewo genealogiczne, a najstarszy grób rodzinny pochodzi z 1705 r. i należy do naszego przodka, Geraunima Mosesa, który prawdopodobnie był Żydem Sefardyjskim i przywędrował tu z Hiszpanii.....

Ręcz- w 1930 r. oznaczał dla mnie ucieczkę z kamiennej dżungli, jaką był Berlin, kiedy wspólnie z rodzicami wyjeżdżaliśmy na letnie wakacje i cieszyłem się na spotkanie z moim kochanym wujkiem Emilem, młodszym bratem mojego ojca, który w swym sklepie na ul. Środkowej [dziś sklep p. Piekarskiej RL], sprzedawał wszystko – od narzędzi ogrodniczych, butów, ubrań do kawy, papierosów i różnych akcesoriów. Do dziś pamiętam zapach tego sklepu. ...

Ręcz oznacza, wycieczki z moim kochanym wujkiem, który zawsze zabierał mnie do Doliny Iny, pomimo tego, iż kuśtykał na swojej drewnianej protezie, bo nogę stracił w czasie I wojny światowej. Oznacza kłękot bocianów, wijących gniazda na dachach wielu domów. Oznacza przysmak, jakiego moje wspaniałe ciocie bliźniaczki, Sara i Hanna, przygotowywały dla nas, i jabłką w sadzie mojego dziadka Sallego, wówczas już po osiemdziesiątce, który z dumą zwykł mówić „Smażują wysmienicie, niczym pomarańcze”. Oznacza spotkania z moimi pięcioma kuzynami z Tuczna, synami mojego wuja Maxa, brata ojca....

Dla mnie wspomnienie Ręcza jest jak wyprawa w magiczne miejsce. Kiedy – jako pięcio-, sześciolatek chłopiec- leżałem w niedzielny poranek w łóżku, w domu moich dziadków i wujka Emila (w tej części domu gdzie dziś jest sklep z wyposażeniem elektrycznym), i wsłuchiwałem się w brzmienie absolutnej ciszy, bo wiedziałem, że za moment cisza ta zostanie przetrwana dźwiękiem dzwonów z pobliskiego kościoła...

Jedną z ważniejszych rzeczy, jakiego zrozumiałem w życiu jest fakt, iż każdy z nas postrzega świat i życie tylko i wyłącznie ze swojego punktu widzenia i jestem przekonany, że właśnie taki sposób widzenia powoduje mnóstwo problemów, z którymi, jako ludzie musimy się ciągle mierzyć. (...) Matka Ziemia pamięta wszystko i przez wielką cierpliwość znosi wszelki gwałt, jaki jej się zadaje. Jest silna i bezradna, za każdym razem prawie z uśmiechem mówi „Kolejny rozdział, proszę...”

Pytania o sens i znaczenie

Spotkanie z Fredem Mosesem, (który dziś, w 2017 r., ma 92 lata i z którym nadal utrzymujemy kontakt dzięki poczcie elektronicznej), stało się dla mnie inspiracją do zadawania pytań o kształt lokalnej edukacji i kultury, w miejscu, gdzie nie zakończony został proces negocjowania tożsamości:

Czy rozwój lokalnej kultury i edukacji jest możliwy bez sięgania do doświadczeń mieszkańców miasteczka (regionu), kiedy znaczące elementy biografii miejsca bywają zacierane przez czas albo wręcz 'usuwane' z pamięci?

Jak taka wiedza lub „niewiedza” kształtuje myślenie o dziedzictwie kulturowym, jak moderuje lokalne programy edukacyjne, jak kształtuje rozumienie źródeł własnej tożsamości?

Co można zyskać, a co stracić poprzez przeszukiwanie kolejnych warstw w „biografii miasta”?

Od 10 lat nie mieszkam już w Ręczu, ale spotkania z ludźmi i ich historiami nadal są inspiracją do moich osobistych refleksji i prowadzenia dalszych badań i analiz.

Dziękuję wszystkim mieszkańcom Ręcza, którzy przez lata towarzyszyli mi w odkrywaniu warstw pamięci i pomagali rozumieć zawile i skomplikowane losy ludzi zanurzonych w biografii tego miejsca.

*Rozalia Ligus
Collegium Da Vinci, Poznań
Katedra Edukacji i Nowych Mediów*

W dniu 30 czerwca 2005 r. nastąpiło uroczyste odsłonięcie tablicy pamiątkowej na terenie dawnego cmentarza. Wspólnie ze stroną niemiecką, którą reprezentował Waldfried Schnabel i Hermann Schmück, uzgodniono następujący tekst: „DLA UPAMIĘTNIEŃ WIELU POKOLEŃ NIEMIECKICH MIESZKAŃCÓW, DLA KTÓRYCH TA ZIEMIA BYŁA OJCZYZNĄ”. Pod nadzorem Wojewódzkiego Konserwatora Zabytków na starym cmentarzu utworzone zostanie lapidarium. Koszty uporządkowania terenu i wytyczenia alejki poniosła Gmina Ręcz, a koszty wykonania tablic i metalowej furtki w ogrodzeniu cmentarza - strona niemiecka. Źródło: Współpraca międzynarodowa w latach 2003-2006. Ulotka Miasta i Gminy Ręcz.

Asnyk A., 1898, Poezye T.I, z cyklu sonetów Nad Głębiemi, Wydawnictwo Nakład Gebethner i Wolff, Lwów.

[https://pl.wikisource.org/wiki/Poezye_T._1_\(Adam_Asnyk\)/Przesz%C5%82o%C5%9B%C4%87_nie_wraca_jak_%C5%BCywe_zjawisko...](https://pl.wikisource.org/wiki/Poezye_T._1_(Adam_Asnyk)/Przesz%C5%82o%C5%9B%C4%87_nie_wraca_jak_%C5%BCywe_zjawisko...)



PODZIĘKOWANIA

Redakcja „Ręcz na rzeczy” dziękuje osobom i instytucjom, które przyczyniły się do wydania niniejszej publikacji:

Zbigniewowi Ligusowi,

Oldze Leśniak,

Marzenie Żybkó,

Danucie Babiak,

Janinie Pawłowskiej,

Małgorzacie Dyka—Szwarc,

Grażynie Mądrzak,

Jagodzie Szczęsnej,

Irenie Pocha,

Grażynie Pigule,

Helenie Więsko,

Dr Rozalii Ligus,

Prof. Kazimierzowi Kozłowskiemu,

Wiesławowi Łońskiemu,

Gminie Ręcz,

Szkołe Podstawowej im. Stefana Czarnieckiego w Ręczu (Zespołowi Szkół w Ręczu),

Gimnazjum im. Adolfa Długosza w Ręczu

Miejsko-Gminnemu Ośrodkowi Kultury i Sportu w Ręczu,

Fundacji Wspierania Kultury „Noc poetów”,

Związkowi Nauczycielstwa Polskiego o/Ręcz,

Redakcji szkolnej gazety GIMpress,

Stowarzyszeniu Dziennikarzy Rzeczypospolitej Polskiej „Pomorze Zachodnie”,

Firmie Graphic House

Wykorzystano fotografie:

Zbigniew Ligus - archiwum prywatne

Piotr Pawłowski - archiwum prywatne

Bogumiła Hołub - archiwum prywatne

Danuta Babiak - archiwum prywatne

Janina Pawłowska - archiwum prywatne

ZNP o/Ręcz - archiwum



Redakcja:

Adriana Cybulska
Aleksandra Kowalczyk
Patrycja Kaźmierczak
Weronika Wlazłowska
Karolina Biskupska
Maja Koźbiał
Urszula Sikora
Angelika Sikora
Hanna Szremska
Klaudia Dłużniewska
Aleksandra Gryczewska
Maciej Gryczewski

72. ROCZNICA POLSKOŚCI NA ZIEMIACH ZACHODNICH

25 marca 2017

PROGRAM IMPREZY:

- 15.00** – MSZA ŚW. W INTENCJI MIESZKAŃCÓW W KOŚCIELE
PARAFIALNYM pw. CHRYSYUSA KRÓLA W RECZU
- 16.00** – SYMPOZJUM NAUKOWE - *Recz. Biografia miasta – kultura
i oświata* (hala sportowo-widowiskowa w Reczu)
- 17.30** – WYSTAWA ZDJĘĆ I PAMIĄTEK - *Rzeczy z duszą*
(hala sportowo-widowiskowa w Reczu)
- 18.00** – *Recz. Kulturalnie!* - muzyczno – poetycki wieczór wspomnień
(hala sportowo-widowiskowa w Reczu)

Serdecznie zapraszamy



Zespół Szkół
w Reczu

Gimpress

